TYDZIEŃ

Nr 14 (38) ROK II

WIELKANOC

6. IV. 1947

CENA 15 ZŁ



Numer świąteczny — 24 strony

Marek Sadzewicz

MĘKA I ŚMIERĆ CHRYSTUSA

W ŚWIETLE NOWOCZESNEJ MEDYCYNY *)

„Wyschnięta jako skorupa jest siła moja, a język mój przylgnął do podniebienia... rota zbójców obległa mnie. Policzyli wszystkie kości moje. Rozdzielili sobie szaty moje, a o suknie moje miotali los".

Od XVI wieku w kaplicy pałacu królewskiego w Turynie przechowywany jest całun, w który, według tradycji spowite było ciało Chrystusa po zdjęciu z Krzyża w przeciągu 36 do 42 godzin. Na płótnie można dostrzec gołym okiem słabo rysujące się odbicie postaci mężczyzny wysokiego wzrostu, odbite z obu stron, zarówno z przodu jak i z tyłu. Kościół katolicki, oddając cześć św. Całunowi w Turynie, nie ogłosił jeszcze oficjalnie dogmatu o jego autentyczności. Niezależnie od tego nauka podjęła badania w kierunku wyświetlenia kwestii autentyczności Całunu i odbicia postaci Jezusa. Ścisłe prace naukowe doprowadziły do wyników wstrząsających dla każdego wierzącego chrześcijanina, którego do głębi przejąć musi myśl o możliwości oglądania autentycznej, fotograficznej niejako odbitki sprzed dwóch tysięcy lat ludzkiego Oblicza Zbawiciela jak również poznania całej Jego, człowieczej i fizycznej męki, drobiazgowo zobrazowanej na podstawie analizy Całunu. Dla nauki laickiej badania turyńskie posiadają również wielkie znaczenie historyczne.

Aż do końca XIX wieku Całun należał do rzędu relikwii czczonych jedynie na podstawie tradycji, których autentyczność nie może być jednak w sposób przekonywujący udowodniona. Dopiero technika nowoczesna niespodziewanie doprowadziła do odkrycia, które zapoczątkowało dalsze systematyczne dociekanie.

W roku 1898 amator fotograf adwokat Secondo Pia dokonał zdjęcia fotograficznego Całunu. Po wywołaniu kliszy okazało się, że odbicie na płótnie jest negatywem postaci Chrystusa. Na kliszy fotograficznej ukazał się ciemny pozytyw, autentyczna fotografia twarzy i całej ludzkiej postaci Syna Bożego.

W roku 1931 dokonał zdjęć zawodowy fotograf G. Enri przy zastosowaniu wszystkich najnowszych zdobyczy techniki fotograficznej.

Uzyskanie fotograficznego pozytywu przekreśliło domniemania, iż odbicie na całunie jest średniowiecznym falsyfikatem, wówczas bowiem nieznane były prawa negatywu. Dalsze, wszechstronne badania Całunu potwierdziły w najdrobniejszych szczegółach znane z Pisma św. i tradycji fakty o męce i śmierci Jezusa Chrystusa, określając ich charakter medyczny.

Dr. Hynek, zebrawszy zgromadzone wyniki, w swej książce oświadcza, że „do omawianych zjawisk nadprzyrodzonych nie przykłada wyższego znaczenia i wiarogodności, niż taką, na jaką zezwala Kościół katolicki, któremu jedynie przysługuje prawo autorytatywnego rozstrzygania".

Jeżeli odrzucić tezę autentyczności, należałoby przyjąć, iż w całun spowity był człowiek, który poniósł śmierć analogiczną we wszystkich szczegółach do śmierci Chrystusa, w tym samym okresie i kraju, człowiek o wyglądzie identycznym do przekazanych nam przez tradycję wizerunków Jezusa. W tych warunkach wyniki badań naukowych Całunu zdają się potwierdzać całkowicie jego autentyczność.

Co mówią te wyniki?

Całun sporządzony jest z czysto lnianej, antycznej tkaniny długości 4 m 36 cm, szerokości 1 m 10 cm.

Zawiera odbicie zwłok mężczyzny pochodzenia orientalnego, wzrostu 1,80 cm, zmarłego w największym rozkwicie sił fizycznych, pięknie, proporcjonalnie zbudowanego. Widocznie w odbiciu zniekształcenia postaci oraz ślady krwi wyciekłej za życia i po śmierci pozwalają ustalić charakter zadanych obrażeń. Obramowanie czoła stanowią krwawe wylewy, spowodowane koroną z cierni. Prawa strona twarzy obrzękła od uderzeń, zwłaszcza fałda nosowo-wargowa. Energiczny nos orientalny jest w swej górnej części rozbity i przesunięty nieco w lewo. Obrzękła również prawa górna powieka, oraz dolna warga. Na łukach oczodołowych ślady licznych ciosów. Byłyby to ślady zniewag, zadanych na radzie żydowskiej oraz przez żołdaków rzymskich w pretorium.

Na całym ciele, z wyjątkiem jedynie stóp, ślady okrutnego biczowania przy pomocy rózeg, batów oraz straszliwego bicza rzymskiego, flagrum romanum o dwóch końcach żelaznych.

Naliczono takich ran 80, powstałych od czterdziestu uderzeń, zadanych przez sześciu żołnierzy z Cesarei, garnizonu znanego z nienawiści do Żydów. Ilość uderzeń, dozwolona przez prawo rzymskie dla egzekucji, która nie miała doprowadzić do śmierci ofiary. Bicz rzymski w ręku wprawnego kata mógł zedrzeć skórę, zmiażdżyć mięśnie i obnażyć kości, spowodować śmierć, a w każdym razie ciężkie obrażenia i kalectwo.

Po tak ciężkim biczowaniu, które nie pozostawiło na ciele umęczonego ani jednego zdrowego miejsca, kazano mu dźwigać krzyż ciężaru około kwintala na miejsce śmiertelnej kaźni. Ciężar ten spowodował na prawym ramieniu ranę miażdżoną.

Chirurg paryski, dr. Pierre Barbet dokonał badań, dotyczących samego ukrzyżowania, posługując się analiza anatomiczną, rentgenologiczną i sekcją anatomiczną. Uczony francuski dochodzi do przekonania, iż ukrzyżowanie jest najstraszliwszym i najpowolniejszym sposobem zabijania, doprowadzającym do śmierci ofiary przez uduszenie. Rzeczywisty środek oprawczy tkwi w powieszeniu za przybite ręce. Stąd wynikają wszystkie okropne skutki z naukową niemal przenikliwością przewidziane przez rozum katowski. Przybicie nóg miało znaczenie tylko „pomocnicze", dla zapobieżenia miotania się skazanego.

Profesor Barbet ustala, że gwoździe wbite były nie w dłonie, tylko w nadgarstki przez szczelinę międzykostną „destota" i między rzędem kostek nadgarstkowych os naviculae, semimnale, triquetrum, pisiforma, a os multangulum maius, minus, capitatum i homatum. To umieszczenie gwoździ świadczy o dokładnej znajomości praktycznej anatomii u katów rzymskich. Zarówno kości, jak i znajdujące się powyżej ścięgno wykluczały zerwanie, wyszarpnięcie ręki przez rozerwanie dłoni, co mogłoby z łatwością nastąpić przy wbiciu gwoździa np. w środek dłoni. Przebijając rękę w tym miejscu, nie można uniknąć naruszenia nadzwyczaj wrażliwego i pobudliwego nervus medianus. Podrażnienie lub zranienie tego nerwu wywołuje prócz straszliwego bólu, przykurczenie się kciuka ku dłoni, co obserwujemy na odbiciu Całunu. Ukrzyżowany wisi tedy na przebitych, zranionych nerwach!

Nie na tym jednak polega sedno tortury.

Profesor Barbet stwierdza, iż rozpiętość ramion i rąk ukrzyżowanego w stosunku do ciała wynosiła ok. 65⁰ przy początkowej 90⁰. Na tej podstawie odnajduje istotną przyczynę śmierci ukrzyżowanego, nie było nią bowiem skrwawienie, zupełnie nieznane w tym wypadku.



otografia głowy Chrystusa z całunu turyńskie

Cały ciężar ciała zwisa na rękach i to, wskutek rozpięcia — na ich mięśniach. Nogi, przybite jednym cienkim gwoździem, nie dają prawie żadnego oparcia. Powoduje to maksymalne napięcie mięśni rąk i klatki piersiowej, ich kurcze, w następstwie trwały kurcz tężcowy, dochodzący w najwyższym stadium podrażnienia do stanu tzw. tetanizacji. Powoduje to straszliwe, nie dające się opisać boleści, przy pełnej świadomości, męczony bowiem zachowuje przytomność, mimo, że gorączka dochodzi do 44⁰! Działają tu jednocześnie mięśnie klatki piersiowej, wdechowe i wydechowe. Silniejsze mięśnie wdechowe uzyskują przewagę, następuje unieruchomienie klatki piersiowej w pozycji największego wdechu i śmierć wskutek uduszenia.

Chrystus, konający na krzyżu w śmiertelnej męce i osamotnieniu, w ostatniej, strasznej walce o powietrze resztką tchu wyrzucił z siebie słowa: „Panie, mój Panie, czemuś mnie opuścił". Odbicie na Całunie wskazuje właśnie nienaturalne rozszerzenie klatki piersiowej, rażące wobec proporcjonalnej, klasycznej budowy całej postaci.

Odkrycie prof. Barbet pozwala jednocześnie stwierdzić, wskutek czego zmarły dziesiątki tysięcy zrewolucjonizowanych niewolników spartakowców, ukrzyżowanych wzdłuż via Appia, tysiące zbiegów z oblężonej Jerozolimy skazanych przez Tytusa, liczne rzesze innych ofiar okrutnej ówczesnej sprawiedliwości.

Widoczny na odbiciu oblicza na Całunie uśmiech tzw. „sardoniczny" jest grymasem boleści, charakterystycznym dla zmarłych wskutek tężca.

Należałoby zapytać, dlaczego wielu ukrzyżowanych żyło dwa, trzy dni, nawet tydzień? Kaci rzymscy mieli środki techniczne przedłużania lub skracania życia ukrzyżowanych. Podpórka pod nogi, lub kołek poziomy, na którym skazaniec siedział jak na koniu (equitabat in cruce) zmniejszały skutki rozpięcia i sprawiały, że śmierć następowała wskutek powolnego uduszenia, bądź wyczerpania. Chrystusowi przybito obie nogi jednym tylko gwoździem, stosując pełną torturę rozpięcia. Położenia stóp — lewa przybita na prawej — nie da się naśladować. Brutalna ręka oprawcy, doprowadzając doń, musiała zerwać ścięgna i wyłamać stawy.

Wskutek zastosowania najbardziej okrutnego sposobu krzyżowania śmierć Chrystusa nastąpiła w przeciągu 3 — 6 godzin. Piłat zdziwił się tym i wysłał setnika Longina z rozkazem urzędowego stwierdzenia zgonu. Setnik wykonał rozkaz przy pomocy ciosu włócznią w serce zmarłego.

Analiza piątej, pośmiertnej rany stwierdza, iż została ona zadana włócznią, przez żołnierza konnego, ściśle według reguł szermierczych, co wskazuje na to, że Rzymianie mieli doskonale wypracowane reguły władania bronią. Włócznia trafiła w prawy bok, przenikła z przedniej części klatki piersiowej między piątym i szóstym żebrem, przebiła około 8 cm poprzez prawe płuco, otworzyła worek osierdziowy i przebiła prawy, przedsionek serca. Powstała rana około 4,5 cm szeroka i 1,5 cm wysoka.

Ewangelista mówi: „I wnet wyszła krew i woda". I podkreśla dobitnie fakt fenomenu, że oprócz krwi wypłynęła również „woda" — „a który widział, wydał świadectwo i prawdziwe jest świadectwo jego, a on wie, iż prawdę powiada: abyście i wy wierzyli".

Na Całunie, wśród ścieków czarnej krwi pośmiertnej widoczne są luki bezbarwne, pochodzące od przezroczystego, surowicznego płynu. Było to zagadnienie przez długi czas przez medycynę nierozstrzygnięte, interesujace nie tylko medycynę, rana ta bowiem ma w kulcie religijnym wyjątkowe znaczenie. Prof. Barbet na podstawie licznych sekcji zwłok ustalił, że u ludzi, zmarłych po długiej i ciężkiej agonii worek osierdziowy wypełnia się przezroczystym płynem surowicznym i powstaje tzw. „hydropericorium".

„...nie łamali goleni Jego". Natomiast chcąc przyspieszyć śmierć dwóch łotrów, którzy jeszcze żyli, oprawcy pogruchotali ich golenie. Znaczyło to po prostu utratę podpory nóg i spowodowanie duszących skurczów tężcowych.

Drobiazgowa analiza uczonych nowożesnych potwierdza w całości opinię św. Augustyna, iż „żaden sposób nienaturalnej śmierci nie był tak okropny, jak śmierć na krzyżu". Okropność mąk wzbudziła nawet błysk litości u wytrawnych i nieczułych oprawców, którzy podawali niekiedy ofiarom środki odurzające w postaci wina z mirrą albo żółci z octem. Syn Człowieczy odwrócił się jednak od owego napoju i przyjął śmierć w pełni świadomości.

Uczony katolicki, opisując przed wojną, na podstawie badań naukowych śmierć Tego, który swoją ludzką mękę złożył w boskiej ofierze dla odkupienia zła wyrządzanego przez ludzi, mówi o niepojętej dziś dla nas w XX wieku twardości i okrucieństwie ludzi antycznych.

Dzisiaj, rozpamiętywując wstrząsający obraz Golgoty lepiej może, niż on wówczas pojmujemy jej sens?

---

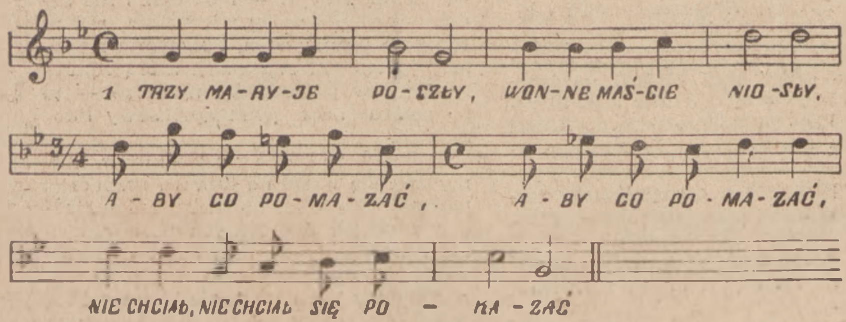
*) Dr A. W. Hynek „Święty Całun". Męka Pańska w oświetleniu nauki. Z czeskiego przełożył i opracował dr St. Karwowski, str. 127, Poznań, 1937. Księgarnia św. Wojciecha

STAROPOLSKIE ludowe pieśni WIELKANOCNE

Do druku podał: Leon Schiller

Ilustrował: Kazimierz Mann
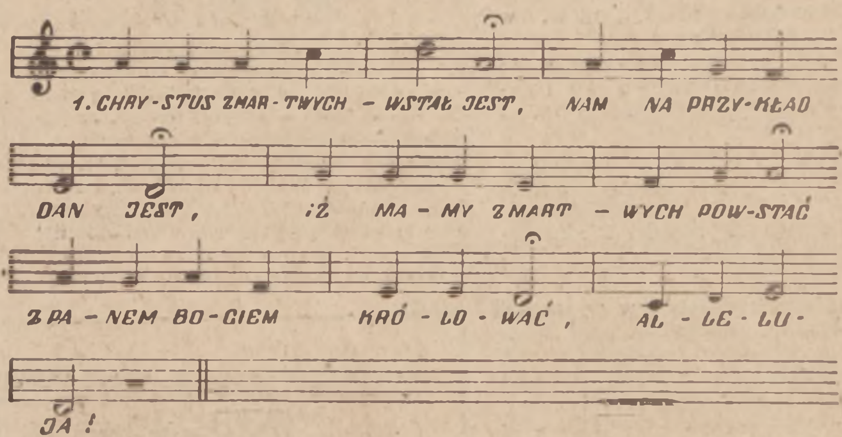
Trzy Maryje



[illegible]
Dał bok przebić sobie!
Ręce, nodze obie,
Ręce, nodze obie,
Na zbawienie, człecze tobie.

(Starodawna pieśń wielkanocna
spod Krakowa).

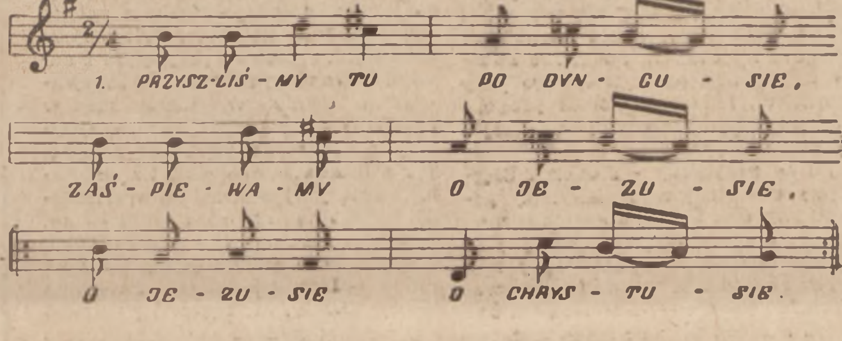
Chrystus zmartwychwstał jest



Bądźmy wszyscy weseli,
Jako w niebie anieli,
Czegośmy pożądali,
Tegośmy doczekali,
A l l e l u i a!



Chłopcy wiejscy po Dyngusie z kogutkiem chodząc, taką pieśń śpiewali:



W Wielki Czwartek,
W Wielki Piątek
Cierpiał Jezus
Wielki smętek,
Za nas smętek, krwawe rany,
Za nas wierne chrześcijany.

Któż opowie
Jak katowie
Pana Jezusa męczyli,
Jak do krzyża go przybili
Krewkę świętą utoczyli.

Gdy się anieli zwiedzieli,
Po tę krewkę przylecieli,
Pozmywali, pozmiatali
I do raju odesłali.



tak i nie

Ile zarabia prezydent USA?



Truman

Na liście płac Białego Domu nie znajdujemy nazwiska Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie ma go na żadnej liście płacy. Jedną z tajemnic Białego Domu jest okoliczność, że prezydent Stanów Zjednoczonych musi co miesiąc wypełnić wniosek do rządu o wypłacenie mu jednej dwunastej części uposażenia, wyznaczonego przez kongres, w wysokości 75.000 dolarów.

Oczywiście, wypełnienie przez niego tego wniosku jest prawną fikcją i datuje się pewnie jeszcze od Jerzego Waszyngtona.

25-go bowiem każdego miesiąca główne biuro rachuby wystawia zaświadczenie, upoważniające pana Williama A. Julian, skarbnika Stanów Zjednoczonych ,do wypłacenia Harremu S. Trumanowi sumy 6.250 dol.

Po ściągnięciu podatku w wysokości 1.147 dolarów i 60 centów, pani Bessi der Pallas wystawia i podpisuje czek na zlecenie Harrego S. Trumana na kwotę 5.102.40 dol. Czek po zażyrowaniu przez prezydenta idzie do jego banku do realizacji. Bank go nie zatrzymuje, lecz zwraca do głównego biura rachuby, który w ten sposób posiada największy zbiór autografów. Waszyngton pobierał około 25.000 dol. Tak samo Jefferson. Z kwoty 75.000 dol. podatki federalne i stanu Missuri wynosiły tyle, że prezydentowi pozostaje 28.000 dol. plus 25.000 dol. na koszta podróży. Z tego musi utrzymać siebie i służbę w Białym Domu, gdyż skarb państwa płaci tylko za posiłki oficjalne. Roosevelt nieraz musiał sięgać do własnej kieszeni, aby związać koniec z końcem.

Dolary, dolary...

PEWIEN wybitny polityk amerykański oświadczył niedawno, że USA nie są zainteresowane w sprzedawaniu Francji wyłącznie węgla i pszenicy, lecz pragną eksportować wyroby swojego przemysłu. Jest to postulat zupełnie zrozumiały, ale trudny do pogodzenia z rosnącym brakiem dolarów i złota we wszystkich krajach europejskich. Kraje europejskie zmuszone są korzystać czy to z kredytów, czy też z wkładów amerykańskich do ogólnoświatowych instytucji pomocy, aby wyżywić się po wojnie, a czasem również, aby się ogrzać. Natomiast coraz niechętniej wydają pieniądze, nawet pożyczone, na nieproduktywne wydatki np. na tytoń. Szereg pism angielskich rozpoczął gwałtowną kampanię przeciwko rosnącej stale konsumcji tytoniu amerykańskiego w Wielkiej Brytanii, w ubiegłym roku bowiem import tytoniu pochłonął aż 25 procent wszystkich funduszów dolarowych Anglii.

Nawet naprawdę zamożna Szwecja zmuszona została do ograniczenia zakupów herbaty, kawy i kakao, aby oszczędzić drogocenne dewizy. Trzeźwi Amerykanie nie są bynajmniej zadowoleni z takiego obrotu rzeczy i obawiają się, że Stany Zjednoczone mogą znaleźć się w sytuacji Hiszpanii z XVI i XVII wieku, która, zgromadziwszy złoto całego świata, nie mogła za nie nic kupić. Sytuacja jest o tyle groźniejsza, że amerykański rynek nie może wchłonąć więcej niż 75 proc. produkcji przemysłu.

Co czytają Niemcy?

PODOBNO autorom niemieckim trudno odzwyczaić się od przemycania zakazanych idei hitlerowskich w swoich książkach. Nie ma w tym nic dziwnego wobec niezmiernie „łagodnej" denazifikacji. Aby ułatwić pracę cenzorom alianckim, którzy może nie znają dosyć dokładnie teorii narodowego socjalizmu, niejaki Steinburg z Düsseldorfu ogłasza się, że „usuwa tendencje hitlerowskie i militarystyczne z wszelkich utworów literackich, powieści i nowel".

Przypuszczalnie nawet z „Mein Kampf". Ta biblia hitlerowska spadła ostatnio bardzo w cenie, tylko na terenie Berlina, gdzie podobno można nabyć egzemplarz za 2 papierosy. Natomiast we Frankfurcie nad Menem egzemplarz osiąga zawrotną cenę 2000 marek. Czyżby to miał być sprawdzian denazifikacji?

Nawet Portugalia ma dosyć!

SĄSIAD faszystowskiej Hiszpanii — Portugalia urządziła zbiórkę na rzecz głodujących Niemców. Akcję podjął Portugalski Czerwony Krzyż, rozpoczynając ją gorącym apelem. Portugalczycy nie wzruszyli się łzawymi słowami i pozostali nieczuli na niedolę Niemców. Urządzono wówczas specjalny koncert w niemieckim kościele w Lizbonie, spekulując na religijnych uczuciach wierzących Portugalczyków. Wynik był rewelacyjny, gdyż dochód nie wystarczył na zakup choćby jednej jedynej paczki.

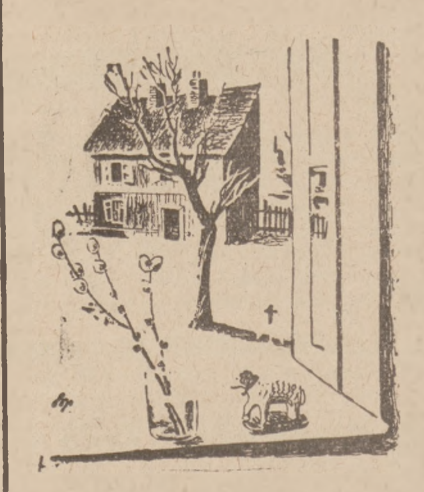
Warto zaznaczyć, że w wyniku podobnej akcji na rzecz Austrii wysłano 8 ton kakao, herbaty i sardynek. Okazuje się, że bajeczka o „głodnych Niemcach" nie znajduje wiary nawet w Portugalii.

Schuschnigg na widowni?

HR. Kurt Schuschnigg, ongi kanclerz Austrii, który przyczynił się do zdławienia ruchu robotniczego tego kraju, a następnie był przez cały czas wojny lokatorem luksusowego aresztu hitlerowskiego, próbuje wypłynąć ponownie na widownię. Niepowodzenia na terenie rodzimej Austrii nie zrażają go. Odmówiono mu prawa wjazdu, zabroniono sprzedaży jego książki na terenie ojczystego kraju. Wobec tego Schuschnigg złożył podanie o wizę do Anglii i podobno ma nadzieję, że zostanie uwzględnione. Schuschnigg cieszy się poparciem pewnych kół angielskich, które widzą w nim „szlachetną duszę, ofiarę prześladowań hitlerowskich".

Warto przypomnieć, że również Dr Schacht uważa się za ofiarę faszyzmu.

NASZA OKŁADKA



Rys. K. M. Sopoćko
WIELKANOC

Prima Aprilis

NIE, drodzy czytelnicy, meczu reprezentacji Sejm — Izba Gmin nie będzie. Ani pierwszego kwietnia, ani w terminie późniejszym. Fotografia rzekomej jedenastki sejmowej, którą zamieściliśmy w poprzednim numerze — to po prostu nasz primaaprilisowy fotomontaż.

Sądzimy, że żaden z czytelników, który dali się wziąć na kawał i rozpoczęli już zabiegi o bilet na mecz, ani też żaden z wielce szanownych posłów, których wzięliśmy za przedmiot dobrotliwego żartu — nie obraził się. A to ważne, byśmy bez uraz umieli czasami się pośmiać.

Naokoło „Rzeczywistości"



Putrament

Powieść Jerzego Putramenta wzbudza coraz bardziej gorącą wymianę zdań. W związku z felietonami J. Wyszomirskiego otrzymujemy drugi list, który zamieszczamy zgodnie z zasadą udzielania głosu wszystkim, pragnącym się wypowiedzieć!

„W „Tygodniu" z dn. 16.III.47 r. ukazał się felieton p. Wyszomirskiego o powieści „Rzeczywistość". Z felietonu tego dowiedziałem się, iż w powieści „jest poeta Pilawko czyli Jan Huszczu".

„Kwestionując z punktu widzenia dobrych obyczajów metodę dorabiania „kluczy" (wytrychów) do powieści za życia zainteresowanych, oświadczam, iż w stosunku do mojej skromnej osoby nie po raz pierwszy dopuścił się p. Wyszomirski świadomej insynuacji.

„Jeśli chodzi o cytowany wypadek, jeszcze przed tym w numerze 41 „Robotnika" pojawił się również klucz do tejże powieści i wymieniono tam rzekomo rzeczywistego Pilawkę, choć nie wiem, czy w ogóle można mówić o kimś, że jest „rzeczywisty" w utworze artystycznym, który rządzi się prawami deformacji.

„Podkreślam: nie znajduję usprawiedliwienia dla tego rodzaju metody „dorabiania kluczy". Wolałbym, żeby była ona własnością zawodowych włamywaczy, niż literatów i dziennikarzy.

„Przy okazji chcę zaznaczyć, że jak dotąd nigdy w żadnej książce nie występowałem, ponieważ jednak p. Wysz występował pod nazwiskiem, więc wolno cytować.

„Leży przede mną jedna z książek nieżyjącego poety Teodora Bujnickiego. A więc znajduję wiersz „Moja Bereza" i taki passus:

„Cóż, Wyszomirski, znów dziecino
Chcesz się smarować wazeliną?"

„Dalej znajduję epigramat pt. „Ortografia":

„Pytasz jak Wysz się pisze? Nie zauważyłem,
lecz sądząc ze wszystkiego, to przez e pochyłe".

„Zwięzłe te charakterystyki miały miejsce w roku 1934".

JAN HUSZCZA

Ostrze na ostrze

Miotła i książka

„Właściwy człowiek na właściwym miejscu" — jak wiele innych sentencji, rozsądnych, a opartych nie tyle na znajomości natury rodzaju ludzkiego, ile na optymistycznej wierze w jej doskonałość, tak i to pobożne westchnienie pewnego wielkiego myśliciela, prawdopodobnie nie za naszego życia doczeka się realizacji. Począwszy od spraw ważkich, a skończywszy na błahych dość często niestety stwierdzić możemy zaprzeczenie tego na wskroś zdrowego życzenia.

Może winna tu zasada znana w fizyce, iż bieguny przeciwne się stykają? Stąd może niewłaściwi ludzie prawem przeciwieństwa ciążą ku niewłaściwym miejscom? Temat do dyskusji. W każdym razie wyliczyć można sporo takich wypadków.

Weźmy chociażby dla przykładu dzieje smutne, lecz pouczające niedawnych lat. Gdyby niejaki Adolf Hitler pozostał skromnym malarzem pokojowym średniej miary, gdyby poprzestał na możliwie dokładnym wyznaczaniu szlaczków dzielących sufit od ściany, gdyby nie zapragnął miast tego wytyczania zgubnych szlaków wojennych, świat nie miałby dziś okazji do sądzenia go jako człowieka, który pomieszał proporcje wielkiej historii i własnego, marnego istnienia.

To są przykłady - monstre. Sięgnijmy do mniejszego kalibru, powiedzmy, do naszych polskich spraw. Gdyby przed wojną w Polsce przedwrześniowej m. in. pułkownicy zajmowali się wojskiem, a nie kierowaniem fabrykami włókienniczymi, być może inaczej, nie tak tragicznie, potoczyłyby się nasze dzieje ostatnich lat...

Potem, w czasie okupacji niewłaściwy człowiek na niewłaściwym miejscu stał się zjawiskiem powszechnym. Oczywiście na zewnątrz — w sensie oficjalnego zatrudnienia. Przypomniał mi się w tej chwili, jako jeden z wielu przykładów, kolega-dziennikarz, taszczący pasażerom paczki na dworcu kolejki grójeckiej w Warszawie. To była zresztą rzecz przymusowa, a zatem usprawiedliwiona — istniały bowiem prawdopodobnie obok dźwigania paczek inne zajęcia, które pozwalały mu być sobą, odnajdywać swe właściwe, chwilowo utajone miejsce.

Te extra-wyskoki z właściwych ram działania zresztą minęły. A jeśli jeszcze gdzieś pokutują w formie np. handlujących w sklepie ciastkami ludzi sztuki, nauczycieli czy literatów za biurkami itd. — po jakimś czasie miną zwyciężone przez wymagania życia.

Zaczyna jednak szerzyć się u nas pewien niepokojący objaw, który przy naszej zwykłej, pełnej fantazji, skłonności do lekkiej przesady, nie wydaje się zdrowym. Otóż — obowiązkowość nie należy do naszych najwybitniejszych cech narodowych. Skutkiem tego właściwi ludzie niewłaściwie oceniający swe zadania na właściwym swym miejscu, sprawiają kłopoty pozostałym, którzy z zapałem równym brakowi kompetencji i umiejętności muszą ich zastępować i zabierają się do roboty, którą lepiej, szybciej i skuteczniej mógłby wykonać powołany do niej człowiek.

W tym wypadku chodzi o bardzo charakterystyczną sprawę „odśnieżania" Warszawy. Gdzie nie ma domów, a zatem i dozorców, usuwanie śniegu jest zadaniem Zakładu Oczyszczania Miasta. Natomiast tam, gdzie stoją domy niepozbawione opieki, obowiązkiem dozorców jest oczyszczać ulice, zgodnie z przyjętym z dawien dawna zwyczajem. Cóż się tymczasem działo w Warszawie w dniach „białego szaleństwa"? Obywatele dozorcy, z godnością urzędując w bramach, obojętnie i z widoczną kpiną przyjmowali do wiadomości, iż robotę za nich zrobi — np. młodzież szkolna czy akademicka. Niewątpliwie ruch i praca fizyczna na świeżym powietrzu, zwłaszcza dla młodzieży, nie są rzeczą szkodliwą, należy jednak znaleźć dla tego celu właściwe formy i czas. Czas, którym młodzież dysponuje w okresach wolnych od nauki, formy — bardziej efektywnie twórcze, niż paranie się w śniegu i błocie. Zdrową jest także rzeczą rozwijać w młodzieży przyjemne poczucie spełniania funkcji społecznej — po cóż jednak zastępować zwykłą, czyjąś pracę „akcją społeczną", oduczając tego kogoś, w tym wypadku — dozorców od spełniania tej ich pracy? Potrzeba nam lekarzy, inżynierów, wielu, wielu młodych, wykształconych sił. Dla młodzieży — książka do ręki. A miotły i łopaty niech powrócą do tych, którzy z pewnością bardziej wprawnie się z nimi obchodzą, choć nie mają może na to ochoty, znakomicie konspirując przed obywatelami miasta celowość swego istnienia.

AVIS

tak i nie STRONA 6

GDYBYŚMY chcieli odnaleźć to, co jest najżywotniejszą siłą chrześcijaństwa, doszlibyśmy do przekonania, że stanowi ją ścisłe zespolenie się z życiem człowieka, z rytmem przyrody, z tym wszystkim, w czym żyjemy i co nas otacza. Święta chrześcijaństwa, to nie tylko rocznice czy pamiątki wydarzeń dla Kościoła i wiernych. Wiążą się one z wiecznie aktualnymi przemianami życia i w tym spoczywa ich atrakcyjność, pociągająca nawet ludzi innej myśli i innej wiary.

Sam termin świąt Wielkiejnocy, związany jest z nadejściem wiosny, z wiosennym porównaniem dnia z nocą. Jest to uczczenie tego stałego, niezmiennego, odwiecznego misterium, jakim jest odradzanie się przyrody, ziemi, roślin, zwierząt i drzew do nowego życia. Gdy święta Bożego Narodzenia są świętem spólnoty ludzkiej, świętem rodziny i tego wszystkiego, co ludzi ze sobą zespala, to Wielkanoc jest świętem świata, jego harmonii i ustalonego, życiowego rytmu.

W ten rytm i harmonię człowiek, będący zarówno twórcą jak i burzycielem, niejednokrotnie wprowadzić pragnie przewrót i zamęt, pragnie ustalony porządek rzeczy obrócić w chaos.

Ofiarami i świadkami takiej próby byliśmy w przeciągu kilku lat ostatnich. Wojna, rozpętana przez burzycieli i wrogów harmonii, wtrąciła świat w otchłań dezorganizacji, pożogi i zbrodni. Siły zła okazały się wystarczające dla zdezorganizowania bytu narodów, dla zmieszania tego, co wzniosła ręka ludzka, ale okazały się bezsilne wobec najwyższych i ostatecznych praw rządzących światem.

PRAWA te triumfowały ponad wszystkim. Ponad ziemiami i morzami, wtrąconymi w wojnę i w walkę niezmiennie triumfowała wiosenna siła odrodzenia. W owych latach święta wiosny i Wielkiejnocy stanowiły bolesny kontrast z rzeczywistością stworzoną przez człowieka, ale jednocześnie budziły otuchę i nadzieję, wiarę w przyszłość, która pozwoliła mu przetrwać to wszystko.

Inne są dzisiejsze święta Zmartwychwstania, nie są kontrastem z rzeczywistością ale jej potwierdzeniem, sharmonizowanym z nią elementem. Zmartwychwstanie, to które przypomina nam dzisiejszy obchód religijny, Zmartwychwstanie, które święci przyroda otaczająca nas, ma swój odpowiednik z tym, co przeżywa świat cały i nasz kraj.

Z GRUZÓW i odmętów wyłania się nowy porządek rzeczy. Porządek, który chcielibyśmy sharmonizować z tym poczuciem dobra i sprawiedliwości, którego od

Zbigniew Mitzner

ZMARTWYCHWSTANIE

wieków chrześcijaństwo uczy ludzkość.

Mimo wszelkie pozorne różnice, mimo rozmieszczenia tych kwestii na różnych płaszczyznach i na różnych poziomach w istocie z trudem i w walce dochodzą do głosu w świecie te koncepcje ideowe, które pragną nie czego innego na ziemi, jak tego, czego pragnie tutaj nauka Ewangelistów przede wszystkim nauka ich Mistrza. Wydaje się, iż zwolna ale skutecznie dochodzimy do przekonania, że nie ma sprzeczności między najistotniejszymi zasadami chrześcijaństwa a zasadami ideowymi i społecznymi, pragnącymi kształtować życie narodów i współżycie między narodami w imię pokoju i sprawiedliwości.

Wydaje się, że konieczność współdziałania tych czynników przez rozumienie tej konieczności upowszechnia się coraz bardziej, dociera do mózgów, staje się logicznym prawem w codziennej pracy. Przyszłość świata i przyszłość ludzkości leży na pewno na linii pogodzenia tego, co dotychczas było skłócone, — dla wspólnego dobra.

CHRZEŚCIJAŃSTWO i wielkie ruchy wyzwolenia społecznego nie muszą tak jak się niektórym wydawało — toczyć ze sobą wyczerpującej i obie strony osłabiającej walki.

Doświadczenie ostatnich lat kilkunastu uczy, że z walki tej łatwo skorzystać mogą ciemne siły ludzkie, obracające się z równą siłą zarówno przeciw chrześcijaństwu jak i przeciwko siłom społecznego wyzwolenia. Okazało się dla chrześcijaństwa, że po dwóch tysiącach lat jego pracy nie jest niemożliwe nadal odrodzenie się najciemniejszego i najokropniejszego pogaństwa. Okazało się także, że to pogaństwo, pogardzające ideą miłości bliźniego zdobyć się równocześnie potrafi na program i działanie obrócone ku wprowadzeniu niewoli człowieka i narodów, obrócone ku realizacji wyniszczenia milionów istnień ludzkich.

STAN bezpośredniego zagrożenia przyszłości tego wszystkiego, co ludzkość stworzyła pięknego i sprawiedliwego, minął; nie minęły jednak, nie rozwiały się opary unoszące się nad pobojowiskami i obozami śmierci. Stoimy wobec konieczności moralnej i materialnej odbudowy świata, czego wymaga również nasz kraj.

Zmartwychwstanie stało się udziałem podbitych narodów.

Narody zmartwychwstały, ale nie zmartwychwstali ci, którzy polegli w walce orężnej i moralnej z niebezpieczeństwem. Nie podniosły się same z gruzów nasze miasta, wsie i fabryki. Z dnia na dzień nie podniosła się na należytą wysokość moralność człowieka, którą usiłowano zepchnąć na najniższy poziom.

To wszystko uczynione być może tylko dzięki zgodnemu i wielkiemu wysiłkowi rąk, mózgów i serc.

WIELKIE zmęczenie, ogarniające świat po krwawej przeprawie, musi zostać przezwyciężone. Pokój musi być utrwalony, nie może być stanem przejściowym, okresem wielkiego niepokoju, ale stanem trwałym, uznanym za naturalny stan bytu narodów.

Zmartwychwstanie narodów oznaczać także musi odbudowę ich bytu materialnego, oznaczać musi uporządkowanie wewnętrznych spraw społeczeństw na zasadach równych i sprawiedliwych praw człowieka do życia i rozwoju.

W przyrodzie panuje nie cofanie się do przeszłości, ale regularny rytm prowadzący naprzód. I tą drogą iść muszą narody, szukać zasad i realizować zasady nowej wewnętrznej organizacji, która by zagwarantowała szczęście, wolność i dobrobyt człowieka.

Serdeczne życzenia z okazji świąt Wielkiejnocy wszystkim Czytelnikom, Przyjaciołom i Współpracownikom

składa

REDAKCJA »TYGODNIA«

CHRYSTUS Z MARTWYCH WSTAŁ JE
LUDU PRZYKŁAD DAŁ JE
EŻ NAM Z MARTWYCH WSTACI
Z BOGIEM KROLOWACI
KIRIE ELEJSON.

(Najstarsza, zachowana w rękopisie z r. 1365, polska pieśń o Zmartwychwstaniu).

Ciebie dla człowiecze dał Bóg przekłóć sobie
Ręce nodze obie
Kry święta szła z boka na zbawienie tobie...
Nas dla wstał z martwych Syn Boży
Wierzyż w to człowiecze zbożny
I przez trud Bóg swój lud
Odjął djablej strożej...
Była radość była miłość było widzenie
Tworcy anielskie bez końca
Tuć się nam zwidziało djable potępienie...

(Pleśń o Zmartwychwstaniu, pochodząca z w. XIV, dopisana do rękopisu „Bogurodzicy" z w. XV).

tak i nie

Potęga opinii

KTO mógłby przypuścić, że jednym z najgorliwszych obrońców dzisiejszych Niemców będzie członek narodu, który najwięcej wycierpiał podczas wojny i skazany został przez Hitlera na zupełną zagładę w zasięgu jego władzy.

Obrońcą tym jest Wiktor Gollancz, Żyd, pisarz i wydawca. On to, a nie kto inny szeregiem swych ciętych artykułów we wszystkich najpoczytniejszych dziennikach angielskich, zmienił nastawienie Anglików do powojennych Niemców i wywołał dla nich w całym kraju falę współczucia. Artykuły te powstały na skutek wizyty Gollancza w brytyjskiej strefie okupacyjnej w jesieni ub. r. Z artykułów tych powstała następnie książka pt. „In Darkest Germany" (W ponurych Niemczech).

Szkoda, że Gollancz nie odwiedził również innych krajów europejskich, które przez kilka lat pozostawały pod okupacją niemiecką. Może wówczas z mniejszym zapałem walczyłby o współczucie i pomoc dla Niemców.

Mimo to Gollancz jest człowiekiem godnym podziwu, należąc bowiem do narodu tak strasznie doświadczonego przez Niemców, był bodaj pierwszym w Europie, który na rozhukane fale nienawiści do narodu niemieckiego zaczął lać obficie oliwę czystego humanitaryzmu.

W imię tych samych ideałów ogólnoludzkich Wiktor Gollancz potępia zamachy terrorystyczne w Palestynie, w których giną ludzie. Twierdzi, że zbrodnie, dokonane przez zbrodniarzy w imieniu narodu niemieckiego na Polakach, Czechach, Żydach itd. nie mogą być ani zapomniane, ani pogrzebane, ale mogą i powinny być przebaczone.

Anglicy uznali ten punkt widzenia Gollancza. Zaprosili jeńców niemieckich na Boże Narodzenie do swych domów, odejmują sobie od ust, wysyłając paczki żywnościowe do Niemiec itp.

Dwa kryteria

JAK donosi prasa włoska w mieście Forli, w którym przebywa sporo żołnierzy polskich z II Korpusu, ożenionych z Włoszkami, którzy wskutek tego stracili prawo wjazdu do Anglii, wybuchły zamieszki na znak protestu przeciw zapowiedzianej ich demobilizacji przez władze wojskowe brytyjskie.

W ub. roku wśród lotników brytyjskich stacjonowanych w Indiach, w Palestynie i w Egipcie wybuchły zamieszki na znak protestu przeciw zbyt powolnemu tempu demobilizacji. Było już dawno po wojnie i żołnierze chcieli wrócić do swych domów w ojczyźnie.

Ale lotnicy brytyjscy nie pożenili się z Hinduskami, z Arabkami, czy z Egipcjankami.

Popularność



Rzecz dzieje się za kulisami łódzkiej „Syreny". Rozmowa toczy się między trzema osobami. Te trzy osoby to Stefania Grodzieńska, członek redakcji „Przekroju„ i członek redakcji „Tygodnia".

Nasza wspólna felietonistka opowiada:

— Znajomy mój jechał wczoraj autobusem. Jak zawsze w autobusie znalazła się awanturująca się kobieta. W pewnym momencie jeden ze zdenerwowanych pasażerów zwraca się do niespokojnej pasażerki: „Grodzieńskiej na panią trzeba".

— A no cóż — mówi nasz kolega — musisz się pogodzić z tym, że właściwie w literaturze polskiej zajęłaś miejsce opróżnione przez Rodziewiczównę.

Grodzieńska nie jest tym komplementem zachwycona, szczęśliwie wołają ją na scenę.

Przystań tranzytowa dla hitlerowców

ABY wyjechać bezpiecznie do Południowej Ameryki, wystarczy przyjechać do umiędzynarodowionego Tangeru — miasta, położonego na afrykańskim brzegu cieśniny Gibraltarskiej. Nie jest to trudne ,gdyż nie potrzeba żadnej wizy wjazdowej. Wystarczą pieniądze. Za nie kupuje się bilet lotniczy do Tangeru, a w tym eldorado spekulantów można kupić paszporty całego szeregu krajów południowo- i środkowo - amerykańskich. Dalej droga jest wolna. Samolot przewiezie nowo-kreowanego obywatela Ameryki łacińskiej do Buenos-Aires czy Rio de Janeiro. W czasie przesiadania się z jednego samolotu na drugi w porcie lotniczym Lizbony, policja portugalska nie kontroluje pasażerów. Nawet największy zbrodniarz hitlerowski, ścigany listami gończymi przez policję Portugalii, może spokojnie skorzystać z tej drogi, aby dotrzeć do bezpiecznych pampasów południowej Ameryki.

Perypetie emigracyjne

WIELE pisano o wizycie w Rzymie księdza Silva, który miał zwerbować 4 miliony imigrantów włoskich dla Argentyny. Misja ks. Silva stanowiła część planu argentyńskiego sprowadzenia koniecznych sił roboczych dla wykonania programu uprzemysłowienia kraju. Oficjalnie jedynym warunkiem, jakiemu winni byli odpowiadać imigranci, było żądanie wyeliminowania niekatolików. Mimo to nie osiągnięto porozumienia z rządem włoskim. A przecież robotnicy włoscy emigrują obecnie do Francji, Szwajcarii i Czechosłowacji, nie mogąc znaleźć zatrudnienia we własnym kraju! Wyszło obecnie na jaw, że ks. Silva interesował się nie tylko religijnymi, lecz również politycznymi przekonaniami kandydatów i nie chciał zawrzeć porozumienia w sprawie zbiorowego zagwarantowania praw robotników udających się za ocean. W tych warunkach rząd włoski zrezygnował z oferty.

Ksiądz Silva nie zraził się i pojechał do Madrytu. Jak głosi fama (z Madrytu bowiem wiadomości są skąpe), o porozumienie z gen. Franco nie było trudno. 5.000 emigrantów hiszpańskich ma co miesiąc wywędrować do Argentyny. Wtajemniczeni twierdzą, że wśród tych emigrantów przeważają blondyni, mówiący bardzo twardym akcentem hiszpańskim, którzy bardzo niedawno nawrócili się na katolicyzm.

Rudy lis

RECENZJA Rojewskiego z „Orestei" wywołała tak zwane „szerokie echa". Teatr Polski zadrżał podobno w posadach. Oczywiście i Rojewskiemu zdarzyła się gaffa. Oto pani Nina Andryczówna, jedna z naszych najznakomitszych artystek dramatycznych, z oburzeniem zaprzecza, jakoby posiadała rudego lisa, którego przypisał jej Rojewski.

Z prawdziwą przyjemnością prostujemy tę niewątpliwą i przykrą pomyłkę.

German Appeal

PROPAGANDA W. Gollancza za przebaczeniem Niemcom ich win wojennych, wydała w Anglii niezwykłe owoce. Jeńcy niemieccy znaleźli się nagle w ośrodku zainteresowań całego społeczeństwa angielskiego. Że odbywały się dla nich w kościołach anglikańskich osobne nabożeństwa z kazaniami biskupów — to głupstwo; że otrzymali masy podarków gwiazdkowych, spożywając wilię przy jednym stole z lordami angielskimi — to głupstwo; że jednak lordowie zaczęli urządzać jeńcom niemieckim, zatrudnionym w ich dobrach wygodne mieszkania, zagęszczając inne pomieszczenia rodzinami angielskich robotników — to już oburzyło nie jednego.

Rekord pobiły jednak dziewczęta pewnego miasteczka, w pobliżu którego znajdował się obóz jeńców niemieckich. Ponieważ w sąsiednim lasku zauważono w nocy podejrzane ruchy i odgłosy, pewnej nocy policja i straż obozowa otoczyły lasek i przeprowadziły w nim dokładną rewizję. Pod każdym niemal drzewkiem znaleziono czułą parkę: jeńca niemieckiego z angielską dziewczyną.

Powroty

WIOSNA wzmaga tęsknotę. Okazuje się, iż i aktorki nasze, które wojna rzuciła daleko od ojczyzny i od Szyfmana, zabierają się do powrotu, Eichlerówna pisze z Ameryki, że czeka w kolejce na miejsce na okręcie. Również Kurylukówna, którą losy po warszawskim powstaniu rzuciły do Londynu, w najbliższym czasie wyląduje zapewne w Warszawie.

Śmierć gen. broni Karola Świerczewskiego, który w dniu 28 marca rb. zamordowany został przez bandę faszystów ukraińskich w czasie swej podróży inspekcyjnej, wstrząsnęła całym społeczeństwem.

Postać dowódcy Brygady Międzynarodowej imienia Jarosława Dąbrowskiego w czasie wojny domowej w Hiszpanii, a następnie dowódcy drugiej Armii polskiej, wsławionej w walkach o Nisę Łużycką — zakrojona jest na miarę narodowego bohatera.

Polska straciła w Nim wielkiego żołnierza i wielkiego obywatela.



Wielka wędrówka Żydów

TERROR skrajnych elementów żydowskich w Palestynie i absolutna niemożność rozwiązania problemów tego kraju przez Anglię odwróciły nieco uwagę od zagadnienia emigracji Żydów europejskich. Na pozwolenie wjazdu do Palestyny, lub na możliwość nielegalnego przedostania się oczekuje obecnie w obozach na terenie strefy angielskiej Niemiec ok. 12 do 15.000 Żydów, na obszarze strefy amerykańskiej znajduje się dalsze 192.000, a we Włoszech ponad 50.000. Do tej liczby należało by dodać jeszcze wiele tysięcy Żydów żyjących normalnie w całym szeregu krajów europejskich, ale czekających na równi z lokatorami obozów na możność emigracji.

Polityka angielska doprowadziła do zupełnie paradoksalnej sytuacji. Naiwni, którzy cierpliwie czekają na wizy, nie otrzymują ich. Nielegalni imigranci kierowani są na Cypr do obozów przejściowych. Tam oczekują cierpliwie aż w ramach legalnej kwoty 750 imigrantów przyjdzie na nich kolej i jadą do Palestyny, do której przed kilku tygodniami czy miesiącami broniła im dostępu cała armada statków brytyjskich. Tego chyba jeszcze w historii nie było, aby dla otrzymania legalnego prawa wjazdu do jakiegoś kraju trzeba było najpierw uczynić to nielegalne.

Uwaga złodzieje!

W natłoczonej nowojorskiej restauracji do stolika samotnego gościa przysiadł się jakiś pan. Jakież było zdziwienie jedzącego obiad przy stoliku, gdy spostrzegł, że nowoprzybyły ma na sobie skradzione mu przed kilkoma dniami ubranie, które rozpoznał po małej plamce, powstałej na skutek nadpalenia papierosem klapy. Poprosił nowoprzybyłego o pilnowanie mu miejsca i wyszedł na ulicę w poszukiwaniu policjanta. Gdy wrócił z nim, okazało się, że złodziej cierpliwie pilnował jego miejsca i nawpół zjedzonego obiadu. Nie należy chodzić w skradzionych ubraniach, bo zawsze może się znaleźć właściciel.

Przypominamy, że niedawno jeden z mieszkańców Warszawy rozpoznał swoje wyszabrowane przez kogoś futro na ulicy na jakimś przechodniu, który je zresztą kupił od szabrownika po powstaniu.

Po papierowych uchwałach O. N. Z. przeciwko dyktaturze gen. Franco



— Ha! Ha! a teraz zaczął się obstrzał!

„Nebelspalter" Szwajcaria

Film TYGODNIA

WIOSNA



„Wierzba bije, nie ja biję. Za tydzień Wielki Dzień".
Niedziela Palmowa w ruinach Warszawy nie straciła nic ze swego wiosennego uroku.



Najmłodsi obywatele stolicy cieszą się promieniami słońca pierwszej w swoim życiu wiosny.



Prace przy poszerzaniu tunelu kolejowego w stolicy.

I-4766 Warszawa

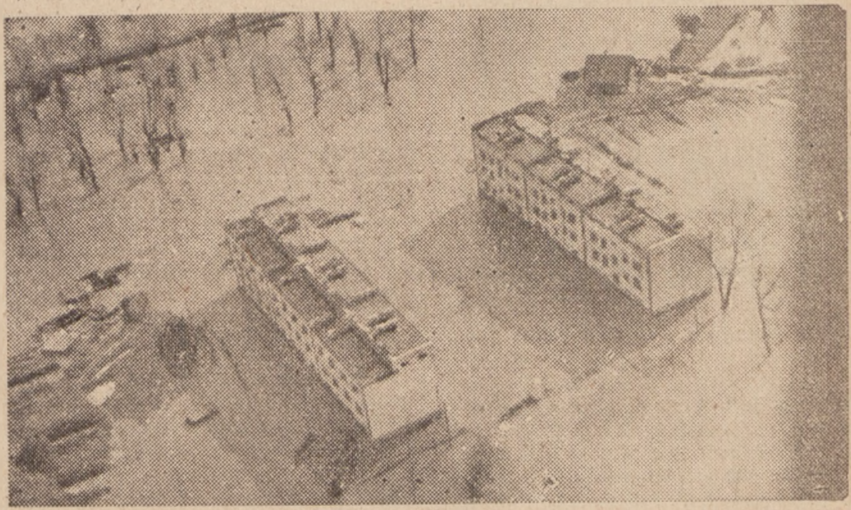
— to nowy numer konta „Tygodnia" w P. K. O.

Prosimy o wpłacenie na to konto prenumeraty na kwiecień.

KLĘSKA POWODZI



Wierzchołki drzew i szczyty opłotków wyznaczają zarysy zatopionych osiedli. Drewniane chaty woda uniosła daleko.



Potężne bloki mieszkalne opierają się sile żywiołu. Ich mieszkańcy znaleźli schronienie na wyższych piętrach, są jednak odcięci od świata



Saperzy niosą pomoc ludności nawiedzonych powodzią osiedli.



Młody, pomysłowy powodzianin sporządził sobie łódkę z niecki. Przy pomocy tego statku wędruje wraz ze swym czworonożnym przyjacielem po zatopionej wsi, niczym gondoliero po Wenecji.

Immanuel Birnbaum

(Korespondent prasy szwedzkiej w Warszawie)

CZASOPISMO, KTÓRE WSZYSCY CZYTAJĄ

TYGODNIK SZWEDZKIEJ SPÓŁDZIELCZOŚCI



Ókładka jednego z numerów pisma „Vi"

Szwecja jest krajem liczącym około sześciu i pół miliona mieszkańców. Jego stopa życiowa jest wysoka dzięki temu„ że od 132 lat Szwecja nie przeżyła żadnej wojny, ani też żadnych większych katastrof żywiołowych. Nie była więc nigdy zmuszona do odbudowywania się od początku. W następstwie tego przeciętny Szwed obecnie nie tylko może lepiej zjeść i ubrać się niż przeciętny Anglik, Francuz lub Polak, lecz może on również poświęcić więcej czasu i pieniędzy na zaspokojenie swych duchowych potrzeb. W Szwecji nierzadko drobny rolnik abonuje 2 dzienniki i 3 do 4 czasopism. Robotnik czyta częstokroć dwa dzienniki dziennie, oprócz tego jeszcze swoje czasopismo zawodowe, jakieś pismo sportowe, nadto kilka czasopism kształcących i rozrywkowych.

Ale jedno pismo czyta prawie każda szwedzka rodzina bez względu na to, czy mieszka na wsi, czy w mieście, czy biedna czy bogata, czy należy do lewicy czy do prawicy. Pismem tym jest tygodnik szwedzkich spółdzielni spożywców, jednej z najpotężniejszych organizacji gospodarczych Europy, do której należy mniej więcej co ósma osoba w Szwecji — licząc także dzieci, chorych i pobierających zaopatrzenie.

„Vi" — nazywa się ten tygodnik, co po polsku znaczy „my". Każdy członek każdej spółdzielni spożywców, po wniesieniu odpowiedniego podania, otrzymuje pismo to bezpłatnie. Toteż nakład jego wynosi od 500.000 do 600.000 egzemplarzy, czyli że na 11 do 12 Szwedów przypada jeden egzemplarz. Co do swej treści pismo to, które przeznaczone jest dla wszystkich, nie może liczyć na wielką wiedzę czytelnika, mimo to stoi ono na wysokim poziomie pod wielu względami.

„Vi" jest tak zredagowane, żeby przyciągnąć przede wszystkim czytelniczki; równocześnie jednak daje ono także coś dla mężczyzn i dla młodzieży. Polityka nie zajmuje pierwszego miejsca, lecz nigdy jej nie brak. Krótki artykuł wstępny, który rzadko porusza te same zagadnienia co prasa codzienna, kilka krótkich komentarzy do problemów gospodarczych o ogólnym charakterze — przedstawiają myśl przewodnią ruchu spółdzielczego t. j. antykapitalistycznie; lecz równocześnie i antybiurokratycznie: gospodarka dla dobra ogółu na podstawie dobrowolnej współpracy. Reportaże z licznymi, zawsze oryginalnymi zdjęciami, naświetlają problemy socjalne Szwecji i zagranicy. Czytelnik zapoznaje się z wszelkimi usiłowaniami zmierzającymi do pokoju, przyjaźni narodów i międzynarodowej solidarności; natomiast rzadko poświęca się miejsce na polemikę z zapatrywaniami przeciwnymi. Pismo szwedzkiej spółdzielczości stara się zawsze wyszukać to, co łączy i co służy postępowi. Regularnie bywają podawane do wiadomości czytelnika wyniki badań stanowiska opinii publicznej kraju co do aktualnych zagadnień; są to pewnego rodzaju małe plebiscyty, ze starannie przemyślanymi pytaniami. Poglądy na światową politykę mają popularną formę krótkich szkiców portretowych ludzi, którzy w danej chwili stoją na scenie światowej.

Szeroko bywają omawiane, zrozumiałe dla każdego wyniki nauki i techniki. Nigdy nie brak omówienia nowych dzieł literackich i obficie ilustrowanego przeglądu najważniejszych przedstawień teatralnych i nowych filmów wyświetlanych w Szwecji. Kilku najlepszych krytyków literackich kraju rozpoczęło swój start do wielkich dzienników w redakcji tego pisma. Cały szereg głośnych prozaików i liryków zamieszcza tu krótkie opowiadania i poezje, które są ilustrowane przez rysowników, artystów wyższej klasy. Powieść bieżąca jest dziełem literackim, częstokroć bardzo poważnym, atoli nie nudnym. Obok tego uwzględnia się także czysto praktyczne sprawy. Kącik przepisów gospodarskich nie jest tu zrutynizowaną odbitką ze starych książek kucharskich, lecz mimo, że przepisy podane są w sposób zrozumiały i łatwy do zastosowania, są one oparte na wynikach najnowszych badań nad witaminami, a równocześnie uwzględniają one społeczno-ekonomiczne badania rynku pod względem popytu, podaży i cen.

Pismo to liczące 32 strony tygodniowo jest potężnym czynnikiem w życiu publicznym Europy północnej. Poziomu swego nie obniża ono do stopnia umysłowości niewykształconego czytelnika i nie przystosowuje się do przesądów mniej uświadomionych warstw społeczeństwa, lecz stara się systematycznie wpływać wychowawczo na szerokie masy. Jeśli chodzi o to, by czytelników o czymś przekonać, „Vi" nie zadowala się podawaniem sprawozdań, lecz sięga do środków płynących ze swego ogromnego wydawnictwa i zużytkowuje je na żywą demonstrację. I tak pismo to, współdziałając z kierownictwem szwedzkich spółdzielni spożywców, sprowadziło niedawno do Skandynawii wielki rosyjski chór śpiewaczy, aby kolejno w poszczególnych miastach szwedzkich najszersze koła publiczności zobaczyły i usłyszały, co z żywej i nowej kultury narodowej wyrosło u wschodniego sąsiada. Tygodnik ten przez zamieszczanie rycin i skromnych sprawozdań rzeczowych o zniszczeniach wojennych i powojennej nędzy zyskał sobie szerokie koła publiczności dla akcji szwedzkiej pomocy krajom takim jak Polska, jak żaden z północnych organów prasowych.

W Szwecji zwykło się uważać obok partii politycznych, jeszcze inną grupę sił, za rozstrzygającą podporę demokracji, są to mianowicie „ruchy ludowe", tzw. wielkie organizacje dla gospodarczej i kulturalnej samopomocy, skupiające masy z wszystkich warstw. Takim ruchem ludowym jest także spółdzielczość, a jej demokratyczna praca wychowawcza zawdzięcza swe wyniki nie w ostatniej mierze temu wzorowemu czasopismu, które czyta cały kraj.

A I D A

Warszawa, ul. Chmielna 5

Nowootwarty wytworny salon fryzjerski, b. pracown. f-my J. Żłobecki, specjalnie dla pań, oraz gabinet kosmetyczny. — Światłolecznictwo — zabiegi — porady — manicure — pedicure.

POLA GOJAWICZYŃSKA

NIE NIŻEJ, A BLIŻEJ

SZUKAM znaków życia, szukam jego wyrazów i kształtów zrozumiałych. Nie ma tu tego, w domu o szklanych ścianach i przestronnych pokojach. Powiedziano tu tyle ważkich słów, że aż zatarło się ich znaczenie. Sterty zapisanego papieru i atrament, to trzeba odepchnąć pewnego dnia, gdy się ma dość. Czym mam żyć? Czym-że? Szczególny głód, czczość zupełna dokucza mi bardzo, mimo że dom jest pełen wszelakiej strawy w pierwszorzędnym gatunku, zaręczają mi.

Idę teraz, nie tym znanym szlakiem w stronę Piotrkowskiej, idę w bok. Ulica, gdzie zeszłej wiosny śpiewał słowik w centrum Łodzi, wśród jej życia, przycichłego nocą. Głos jego dawał się słyszeć między hucznym przelotem aut i dalekimi seriami strzałów, aż zapanował wszechwładnie na krótką chwilę, przed świtem. Wtedy to także prosiłam Ryszarda Dobrowolskiego, aby napisał wiersz o tym słowiku. Lecz tkwił po uszy w świetlicach robotniczych, zamyślił się, a wokół słowika natychmiast rozgorzała dyskusja, z punktu widzenia użyteczności takiego wiersza: dla kogo i po co? Jednakże leżałam bardzo chora i nie chciałam już byje jakiej zgody na te umowne sprawy. Klasa robotnicza, cóż to jest? Człowiek, obdarzony tymi samymi zmysłami, obdarzony taką samą wrażliwością i zdolnością odczuwania, ni mniej, ni więcej — to samo co ty. Nie umniejszaj go o głowę, o serce. Możesz mu odjąć tylko maturę, tak.

A także, nie skąp mu różnorodności życia. Należy mu się, pełne.

Idę. I wystarczyło, by zmienić kierunek, a świat obrócił się jaki na osi i ukazał inny swój obraz. Zniknęły wielopiętrowe kamienice, soli dne i posępne, i wszystko, co do tego należy: koronkowa stora, plusz, lustro, żyrandol et caetera. Zaczynają się dwupiętrowe, szeroko rozsiadłe domostwa, miejskie chałupy o obliczach ongiś potynkowanych na żółto drewniaki, parkany i nagie gałęzie drzew nad nimi. Widzę w oknach fuksje... Aaa, omal się nie kłaniam, mirt jest także. I kolorowy mech między oknami. I wszystkie te małe znaki przy wejściach: but, hebel, kapelusz, kocioł, klucz — znaki rozpoznawcze, niczym herby lub zawołania pracowników, towarzyszą mi w drodze. Teraz wystarczy, abym weszła w którąśkolwiek z tych bram, rozwartą szeroko: oto podwórze, podwórze czy plac po prostu, obmurowane głuchymi murami fabryk i kamienic. Mała luka z jednej strony, to dla ciebie, światło, ażebyś tu mogło wejść. Niebo wpływa gwałtownie, nisko, nad parterową oficyną zawadza o facjatkę, zasklepia ten świat, sam w sobie. Stary, żelazny wodociąg kapie zamarzłą kroplą. Tu, gdzie został kawałek ziemi bez kocich łbów, bokami, grunt wzdyma się lekko pod śniegiem. Uprawia się zagony, wiosną jest to dziedziczny ciąg do roli, od której się odeszło. Gromadka dzieci bawi się, lepiąc bałwana i budując fortyfikacje ze śniegu.

Z małej, murowanej pralni tryskają głosy kobiece, turkot wyżymaczki, plusk wody. I nawet — żeby nie było zbyt beznadziejnie, ogromne drzewo pośrodku dziedzińca rozkłada nagie konary, dla ciebie poeto malarzu, muzyku, któryś się tu wylągł w tej oficynie — kawałek piękna abyś miał ku czemu wznosić oczy, czegoś gorąco pragnąć — abyś miał pojęcie, co to jest liść i barwa we wszelkie pory dnia.

W oknie, przed którym stoję, rysuje się ciemny, ażurowy szkielet maszyny i wirują wysokie kolorowe szpule nici. Stoję twarzą w twarz przez szybę, z pracownicą — ręce jej poruszają się szybko, jednym krótkim i wciąż powracającym gestem. Przy tej robocie twarz jej pełna jest jakiegoś innego życia, zadumy o swoim. Nie wiem, co to jest za maszyna i jaka to jest praca, ale chwytam w twarzy kobiecej coś dobrze znajomego, bliskiego, jak gdyby mi się oczy przetarły: umiem ją odczytać. Zatroskana, z ustami zaciśniętymi, z czołem gładkim i ufnym, skupiającym na sobie wszystko światło myśli. Mądra, wszelką mądrością swego trudnego życia. Dramatyczna — lecz patrz, gotowa do uśmiechu otuchy i nadziei... Teraz dostrzegam w innych oknach zaprzątnięte ręce, pochylone głowy, a uszy podchwytują lekki, rytmiczny szurgot maszyny trykotarskiej. Odczuwam dziwaczną dumę: są tu, przy warsztatach. Nie wyjechali za szabrem, nie stoją na Zielonym i Wodnym Rynku z łachami na sprzedaż, nie poszli na „lekki" chleb kombinacji. Ich stosunek do rzeczywistości wykłada się jasno jak na dłoni... Wchodzę do szerokiej sieni wspinam się na wydeptane schody, przemierzam długi korytarz, gęsto znaczony kwadratami drzwi, z jednym zlewem i wodą dla całego piętra Jest tu schludnie. Odgaduję wnętrza za tymi drzwiami: wypełnione izby w których jednakże jest jakiś kąt odświętny — słupek z kwiatem i serwetką richelieu, oleodruk, jakiś gips, ściany pokryte gęstym i zjadliwym wzorem malunku. Brzydkie?... Tak. Lecz, w pewnym sensie, nie gorsze to jest niż plusz śródmieścia.

Ktoś gra na skrzypcach, ciągnie cierpliwie i mozolnie, z upartym zapałem, ćwiczy. Ta skąpa nuta, ten prosty motyw muzyczny — to znów odrobina marzenia wśród surowego i pracowitego dnia. Zapada zmierzch. Schodzę na dół i słyszę spoza innych drzew:

— Czy lekcje odrobione? Uczcie się, dzieci, uczcie!

I, jak westchnienie:

— Żeby wam lepiej było na świecie!

Omal nie wybucham śmiechem, śmieję się, chciałabym także otworzyć ramiona i objąć to wszystko. Ale ta niczym niezachwiana ufność w inny, lepszy, oświecony świat, gdzie nie ma zła, ponieważ jest świadomość. W nas to godzi, w nas, co władamy piórem, wykładamy w szkołach, „drukujemy w gazetach", w nas to godzi i nas wieńczy to westchnienie, wieńczy nas, na kredyt. Bo cóż im tu przyniesiemy, jak określimy tę nieokreśloną a olbrzymią społeczność, co to jest? Proletariat? Drobnomieszczaństwo? Nie, nie, nie. Drobnomieszczaństwo jest tam, w pluszach śródmieścia, zasiada w redakcjach pism codziennych i forsuje sensacyjno-brukową powieść w odcinku, szczebioce o modzie, popełnia wzmianki o ministrach; drobnomieszczańskie córeczki i synalkowie z zapałem podejmą rozprawy o egzystencjonaliźmie i katastrofiźmie, pójdą na polonistykę, wypełnią mętną publicystyką pisma literackie, zaczną pouczać ludzi z talentem, samouków, tych z dołu — jak się pisze powieść i czym jest demokracja; oni, tak antydemokratyczni, że wytworzyli owe szczególne pojęcie obniżania poziomu, łatwizny, bzdury, gdy mówią do ludzi „prostych".

Tu — tu jest ziemia dziewicza. Ziemia dziewicza, na której mieszka człowiek dojrzały i na której wschodzi pierwsze, nowe i świeże pokolenie inteligencji polskiej. Tu wszystko jest do zrobienia, wszystko do wygrania, jeżeli się przyjdzie, nie niżej, tylko bliżej, z słowem rzetelnym jak chleb, jak trud i radość, praca i miłość i powstawanie z nicości, z nijakości, z błędów, omyłek, walk — do pełnego, twórczego człowieka.

Larussa Zajączkowska

NIEMCY na SREBRNYM GLOBIE

W którymś z pism znalazła się niedawno notatka o rewelacyjnych zeznaniach jednego z niemieckich uczonych w Ameryce na temat przedsięwziętej jeszcze w 1942 roku wyprawy na księżyc jego kolegi, profesora Funkera. Profesor ów, wraz ze swoim asystentem, opuścił jakoby nasz niespokojny padół ziemski przy pomocy rakiety o nieznanym napędzie i poszybował w przestrzeń międzyplanetarną, w sposób zgoła nieprzewidziany i wysoce nieuprzejmy przerywając konwersację ze swymi współziomkami po 36 godzinach lotu. Historia niezwykle romantyczna i emocjonująca, która z pewnością opublikowana została na czołowych miejscach pism amerykańskich, bijąc na głowę 400-milionową rakietę krasomówczą samego prezydenta Trumana.

Cóż się stało z przedsiębiorczym profesorem? Czy rzeczywiście pozazdrościł laurów swojemu znakomitemu poprzednikowi, uwiecznionemu w bajce niemieckiej, baronowi Muenchhausenowi, który osiadł na księżycowych włościach, jako jeden z pierwszych kolonistów germańskich? A może była to nowa wyprawa imperialistyczna przeciwko słowiańszczyźnie? Wiadomo przecież, iż na tym samym księżycu od wieków usadowił się pan Twardowski... Mamy niezbitą pewność, że ten dzielny przedstawiciel naszego narodu, nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać i stanie nieugięcie na straży swej księżycowej Odry i Nisy!

A może profesor Funker wcale nie poleciał na księżyc? Drugi jego kolega, Ardenauer, jak wielu innych uczonych niemieckich, nabierający ogłady towarzyskiej na amerykańskich wczasach pracowniczych, mając widocznie do konkurenta jakąś zadawnioną urazę, stara się rozwiać w oczach świata ten księżycowy mit. Twierdzi on, że Funker wcale nie poleciał. Po prostu bał się angielskich bomb w Berlinie i dość miał nazi - patriotyzmu. Uciekł swoją rakietą do Ameryki Południowej, a stamtąd zwiał w ogóle z tego świata do bogów Walhalli. Zwyczajnie „nabił hitlerowców w rakietę"...

Podczas gdy Herren Professoren dają w tak gorszący sposób przykład braku zawodowej i narodowej solidarności w oczach Nowego Świata, cóż nam szkodzi poplotkować na temat, co by było, gdyby... Gdyby tak Niemcy rzeczywiście wylądowali na Srebrnym Globie?

Na Srebrnym Globie. Właśnie tak się przypadkowo złożyło, iż tego dnia, kiedy przeczytałam o niemieckiej inwazji na księżyc, trafiła mi do ręki świeżo wydana przez „Wiedzę" trylogia Żuławskiego, której pierwszy tom, pochłaniany w dzieciństwie z zapartym tchem, nosi tytuł „Na Srebrnym Globie". Książka, czytana wówczas, miała ostry posmak przygody, podróży w nieznane, w poszukiwaniu odkryć nowych światów — dziś — ma raczej posmak goryczy. Tkwi w niej bowiem fatalizm: nawet przeniesienie się na inną planetę nie potrafi wykorzenić odwiecznych złych skłonności natury ludzkiej. Tkwi w niej także analiza powstawania mitów — legendy nadprzyrodzonego, nadrzędnego świata i jego symbolu: nadczłowieka.

Dlaczego łączę te refleksje z wątpliwej autentyczności przygodą profesora Funkera, być może tylko dobrze obmyślaną reklamą niemieckiego „geniuszu" dla łatwowiernych big boys Ameryki? Nie chodzi mi o prostą zbieżność faktów, że w powieści i w życiu człowiek zapragnął poznać niedostępny świat, porzucając starą ziemię. Myślę o czym innym. Jak zachowaliby się Niemcy na księżycu?

Zdając na piątkę egzamin z germanologii, nie popełnilibyśmy chyba błędu, twierdząc, iż w obecnym stanie ich dusz i umysłów założyliby niezwłocznie hodowlę nieskażonej rasy germańskiej, pielęgnując troskliwie mit o wodzu i posłannictwie narodu niemieckiego, który ma zbawić ludzkość przez krew i pożogę. Realizacja tego posłannictwa mogłaby mieć przy tym wspaniałe widoki powodzenia — nie tak dawno któryś ze świeżo upieczonych militarystów amerykańskich skonstatował, że księżyc znakomicie nadaje się jako baza wojenna, celem spuszczania stamtąd na ziemię, atomówek i wszelkich innych tego rodzaju upominków dla przyjaciół. W razie jakiejś faktycznej szkody można ewentualnie zwalić winę na meteoryty i im podobne gwiezdne niedopałki, hasające bezkarnie po międzyplanetarnych poligonach.

Kiepska perspektywa dla nas, pozostałych na ziemi z przywiązania do starych kątów, niepoprawnych marzycieli, ufających, że może kiedyś nareszcie będziemy mogli zaznać niezakłóconego i należnego nam spokojnego życia! Czy nie należałoby może wzorem niektórych naszych instytucji publicznych, wprowadzić biura przepustek, które by segregowały interesantów, zamierzających przestąpić księżycowe progi?

— A obywatel w jakim celu udaje się na księżyc? Czy obywatel posiada broń przy sobie? Proszę oddać!

Z pewnością wielu amatorom odechce się wycieczki. System sprawdzony na licznych rzeszach interesantów w naszych urzędach.

Ale to są dygresje. Przepraszam. Wróćmy do Niemców.

Czy naród niemiecki posiada w sobie zadatki na księżycowych obywateli na wzór bohaterów powieści Żuławskiego? Jak głęboko wrodzona jest im skłonność czynienia źle? Jakie powinny zaistnieć warunki, aby mogła się w nich dokonać przemiana tych skłonności?

Kilka miesięcy temu byłam w Berlinie i chodziłam po mieście ruin, szukając odpowiedzi na te istotne dla nas pytania. W świetle księżyca gruzy berlińskie, podobnie, jak warszawskie, byłyby doskonałą ilustracją do „Srebrnego Globu". Sprawiały przy tym jeszcze jedno wrażenie: fantastycznych, rozrzuconych dekoracji dramatu, w którym zgrali się główni aktorzy i musieli odejść, pozostawiając na rozbitej scenie statystów. Statyści błądzą wśród ruin, wspominając żałośnie dawne galowe przedstawienia, gromkie fanfary i salę, pełną widzów, być może, czasem, szukają nowych dróg, aczkolwiek z wielkim trudem, gdyż obciążeni są balastem złej szkoły gry o zacięciu fałszywego melodramatu i tradycją nadętego heroicznego eposu.

Próba przeniesienia Niemców z ich dawnego świata poglądów i zwyczajów, którego esencją były hitleryzm i wojna, do nowego życia w nowych warunkach, wydaje mi się jakby próbą przetranzlokowania ich z ziemi na księżyc. Co z nich odpadnie przy tej przeprowadzce, a co zachowają jako pamiątkę i jednocześnie zadatek na przyszłość?

Są ludzie wśród Niemców, nie tracący nadziei, iż uda się wychować nowe, zdrowe, społeczeństwo niemieckie. Przypomnijmy sobie zapał nawracania swych współziomków znanego w Polsce więźnia Oświęcimia, dr Maiera, który po wyjściu z obozu deklarował wobec nas swe zamiary w tym kierunku. Zdanie to podzielają także różne koła na zachodzie. W nas tkwi jednakże uzasadniony doświadczeniami wielu wieków walki i cierpienia, pełen goryczy zawód bohatera ostatniego tomu trylogii Żuławskiego. Zawód Marka — „Zwycięzcy", którego pyrrusowe zwycięstwo skończyło się klęską, zadaną mu przez księżycowy lud.

Problem polegałby na tym, aby znaleźć syntezę tych dwóch poglądów: ich wiary i naszego sceptycyzmu. A może by tak wyszukać w grzesznym niemieckim mieście wszystkich sprawiedliwych, izolować ich od złych wpływów gdzieś na Srebrnym Globie, a kiedy się odpowiednio rozmnożą rozproszyć, jako nauczycieli i wychowawców, wśród krnąbrnych, niepoprawnych Niemców. Nie wiadomo tylko, czy wytrzymaliby oni taki upadek z księżyca...



Z powodu trudności technicznych zmuszeni jesteśmy zapowiedziany felieton Jana Rojewskiego LIST DO PRZYJACIELA z ilustracjami Jerzego Zaruby — odłożyć do numeru następnego

CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymała p. Eleonora Siedlecka (p. Pyry pod Warszawą, Dąbrówka, dom Bajsza) za nadesłanie poniższego wycinka z naszego „Tygodnia".

NOSIŁ WILK, PONIEŚLI I WILKA

Faworki czyli chrust: Ciasto cienko rozwałkować, krajać w paski... smażyć na gorącym smalcu. Gdy zarumienią się z jednej strony, przewrócić na drugą stronę, wyjąć półmisek i posypać cukrem z wanilią („Tydzień" Nr 6 z dn: 9.2.1947).

P. Siedlecka pisze: „Niech goście delektują się półmiskiem posypanym cukrem z wanilią, a faworki niech leżą przewrócone na drugą stronę. Nagroda moja chyba pewna". Tak jest. Przesyłamy ją telegraficznie.

ORESTEJA W FALBANKACH

Chór dziewic w barchanach — Bogowie we flaneli — Atena w jedwabiu — Za tydzień Oresteja.

Oresteja — to ryzykowny krok dla teatru... Teatr Polski ma jednak wszelkie szanse... We wszystkich pracowniach teatralnych wre gorączkowy ruch... W pracowni krawieckiej wychodzą spod maszyn szaty bohaterów dramatu... Z jakich materiałów? Przeważnie z barchanu, poza tym z flaneli i bawełny... Pośród nich na manekinie bieleje jak śnieg jedwabna suknia Pallas Atene. Najwspanialszy jest kostium Orestei z dziesiątkami falbanek. (Tytuły i urywek z „Wieczoru Warszawy" z dn. 8 marca 1947).

Gdy Teatr Polski będzie wystawiał Iliadę, uszyje jej kostium z 50-procentowej wełny; gdy z kolei pójdzie Odyssea, otrzyma sukienkę plisowaną; dla Eneidy wreszcie przewidziana jest skromna lecz wytworna spódniczka kloszowa z blezerkiem.

50 TYSIĘCY UBRAŃ DLA ROBOTNIKÓW

Polski Czerwony Krzyż w zrozumieniu ciężkich warunków pracy robotników czyszczących kanały, przesłał na ręce prezydenta m. Warszawy 50 kompletów ubrań impregnowanych, pochodzących z darów irlandzkiego C.K. (tytuł i tekst z „Expressu Wieczornego" Nr 70).

Aczkolwiek komplet ubrania robotniczego składa się z bluzy i spodni, w danym wypadku każdy komplet zawierał tysiąc par spodni i tysiąc bluz i w ten sposób powstało 50 tysięcy ubrań, taką bowiem ściśle armię robotników zatrudnia się przy czyszczeniu kanałów warszawskich. W najbliższym czasie, po zakończeniu czyszczenia, armia ta będzie użyta przy odbudowie Stolicy.

WCALE NIE BUJDA

Potrzebna dziewczyna do dojenia dwóch krów i drobiu. Aleje Marcinkowskiego 15 m. 12. (Ogłoszenie w „Głosie Wielkopolskim" Nr 71).

Jest to specjalny gatunek drobiu, wyhodowany przez gospodarnych i oszczędnych Poznaniaków, dający tzw. ptasie mleko.

NOWE KSIĄŻKI

Zofia Nałkowska. Niedobra miłość (wydanie IV). Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza".

Helena Boguszewska. Całe życie Sabiny (wydanie III). Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza".

A. J. Cronin. Cytadela (przełożył Józef Szpecht). Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Jerzy Żuławski. Zwycięzca. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza".

Czesław J. Centkiewicz. Biała foka. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Jerzy Zawieyski. Noc Huberta. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Jarosław Iwaszkiewicz. Wiersze wybrane. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Leon Pasternak. Rzeź niewiniątek. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Grzegorz Timofiejew

Gdy kłamstwo tworzy arcydzieła

Tak, jak istnieją zbiory osobliwych, a niewykonalnych pomysłów technicznych, fikcyjne dokumenty i zmyślone mapy, tak istnieje na terenie literatury muzeum osobliwości. Zaczyna się od niewinnej, zabawki parodii, a kończy się na mistyfikacji w skali światowej, na, o ile tak można powiedzieć, oszustwie literackim. Są w tym muzeum osobliwości literackich fenomeny wielkich uzdolnień obróconych na użytek mistyfikacji, są formy dziwaczne nie przynoszące nikomu krzywdy, ale trącące zwyrodnieniem, są dzieła niepotrzebne a niepokojące.

W literackim muzeum osobliwości, jak w muzeum figur woskowych pani Toussaud w Londynie, pierwsze miejsce powinni zająć znani mistyfikatorzy. Znajdą się wśród nich drobne płotki, mali oszuści oraz ogromne talenty, których literacki występek miał niesłychane konsekwencje i skutki.

Mistyfikacja literacka ma swoje źródło w okresie rozkwitu literatur wschodnich, perskiej i arabskiej. Było wtedy rzeczą normalną podszywanie się pod cudzą firmę autorską. Nie było w dobrym tonie ogłaszanie swych poezyj pod własnym nazwiskiem. Młody poeta zgłaszał się z reguły do słynnego poety swego czasu, Hafisa czy Firdusi'ego i prosił o prawo ogłoszenia swego utworu pod nazwiskiem mistrza. Ta legalna mistyfikacja wytworzyła ogromny chaos w dziejach literatury perskiej i arabskiej. Znawcy tych literatur głowili się i męczą dalej nad rozwiązaniem zagadnienia: kto jest prawdziwym autorem tego czy innego pięknego wiersza. To nieznane ojcostwo literackie dało początek mistyfikacjom literackim późniejszych czasów.

Sławnymi mistyfikatorami nowszych czasów byli mistrzowie formy literackiej Francuzi: Voltaire, Diderot, Merimee. Nawet wielki Balzac ma na sumieniu taki kawał, jak stworzenie pamiętników słynnego dowcipnisia paryskiego Samsona. Balzac genialnie zmistyfikował współczesnych. Nawet rodzina Samsona uważała książkę „Monsieur de Paris" za autentyczne pamiętniki. Ta mistyfikacja wyszła na jaw w roku 1863, kiedy ukazały się jakoby prawdziwe pamiętniki Samsona, które miały niesłychane powodzenie na rynku. Wydawcą tych pamiętników był ostatni z rodu Samsonów. Ale po kilkudziesięciu latach okazało się, że i te pamiętniki zostały napisane przez dziennikarza Olbrenta, który zapłacił zubożałemu Samsonowi 30.000 franków za milczenie.

Głośną mistyfikacją literacką były pieśni Illirów, pióra Prospera Merimee. Merimee sam opowiadał, że chciał poznać Illirię, ale nie miał pieniędzy na podróż. Postanowił więc ogłosić swoje odkrycie literackie, by za zdobyte honorarium wybrać się do Illirii. Eksperyment udał się znakomicie. Najlepsi znawcy Illirii, czyli wyrażając się językiem dzisiejszym, zachodniej części Bałkanu, nie poznali się na mistyfikacji. Ba nawet znalazł się zaraz tłumacz wyboru tych wierszy na język rosyjski. Był nim Puszkin.

Merimee do samej śmierci był dumny ze swej sztuczki.

Wspomniałem nazwisko Puszkina. Otóż wielki pisarz rosyjski sam miał na polu mistyfikacji literackiej nie małe zasługi. Puszkin napisał szereg groteskowych nowel i opowiadań pod nazwiskiem Biełkina.

O ile jednak na terenie czystej poezji jest mistyfikacja literacka czymś osobliwym, ale nie gorszącym, o tyle na arenie literatury politycznej, staje się mistyfikacja groźną bronią w ręku walczących wrogów. Wiek XVIII zalany był fałszywymi pamiętnikami, wykonanymi z niesłychaną maestrią. Arcydziełem były chyba pamiętniki Richelieugo, Fryderyka Wielkiego słynnego szarlatana Cagliostro. Autorzy tych mistyfikacji pozostali na zawsze nieznani. A byli to ludzie wielkiego talentu.

Olbrzymem wśród mistyfikatorów uczonych jest Czech, Hanka. Ten filolog, gorący patriota czeski, odkrył w r. 1819 rękopis zwany „rękopisem królodworskim". Rękopis ten był rewelacją przeszłości literatury czeskiej. Zawierał pierwsze prastare pieśni czeskie z X wieku. Przez odkrycie to stawała literatura czeska na pierwszym miejscu wśród literatur słowiańskich i te motywy kierowały Hankę w jego pracy mistyfikatorskiej.

Sprawa autentyczności rękopisu królodworskiego podzieliła naród czeski na dwa obozy. Ostatecznie ujawniono mistyfikację rękopisu.

Większym bodaj mistyfikatorem od Hanki był Szkot Mac Pherson. Posiadał on talent mistyfikatorski na miarę geniuszu. Bo pomyśleć tylko, ile musi umieć mistyfikator literacki, by z równą siłą wcielać się w styl i formy literackie różnych epok, od barda greckiego do markizy Pompadour. Taki niezwykły talent naśladowczy posiadał ów Szkot, którego majstersztyk, znany początkowo w literaturze świata jako pieśni Ossiana, miał wielki wpływ i stworzył epikę literacką. Mac Pherson napisał poemat staroceltycki. Wcielił się w pieśniarza Ossiana. Ta mistyfikacja literacka stała się źródłem natchnienia romantyków niemieckich i angielskich. Kult „Pieśni Ossiana" objął całą Europę. Nasi wieszczowie, Mickiewicz i Słowacki, byli na równi z wielkimi romantykami swej epoki wielbicielami wytworu wyobraźni genialnego Szkota, który tego fałszerstwa literackiego dokonał tak samo, jak Hanka z powodów patriotycznych.

Co udało się Mac Phersonowi, to nie udało się Anglikowi, Wiliamowi Ireland, antykwariuszowi, który nagle znalazł wśród starych rękopisów, paczkę papierów pióra... Szekspira. Były tam listy, rachunki, umowy wielkiego pisarza. Znalazł się nawet fragment jego nieznanego dramatu. Niestety Ireland nie miał talentu Hanki czy Mac Phersona, jego oszustwo wyszło na jaw podczas wystawienia domniemanej tragedii szekspirowskiej.

Tragiczną postacią fałszerstwa literackiego był zmarły młodo poeta angielski Tomasz Chatterton. Spędził on dzieciństwo w cieniu gotyckiego kościoła. I poznał tak głęboko ducha średniowiecza, ducha gotyckiej sztuki, że wcielił się niejako w średniowiecznego pisarza, Tomasza Rowla, którego sam wymyślił. Postać te obstawił szeregiem dokumentów, listów króla Henryka VI i dał jej wielki dar poetycki. Chatterton rozdwoił się. Jako Rowl pisał przepiękne utwory w języku zamierzchłej epoki, jako Chatterton, pisał słabe wiersze, dziwnie bezbarwne w zestawieniu z utworami Rowla. Ta mistyfikacja wydała się dopiero po śmierci pisarza. Krytyka i znawcy stwierdzili, że poezje Rowla są bardziej średniowieczne, niż cała autentyczna literatura epoki Henryka VI.

Takie są pokrótce dzieje literackiej mistyfikacji, zrodzone z kaprysu lub chorobliwej ambicji, osobistej czy narodowej. Dzieje pouczające i ciekawe.

Spółdzielnia Wydawnicza
„KSIĄŻKA"

JULIAN GAŁAJ — MYSTKOWICE WIOSKA MAŁA...

cz. I — PAWEŁ ŁĘKIS, str. 224, cena zł 250.—
cz. II — KAMELEONY, str. 400, cena zł 350.—
cz. III — KRYSTALIZACJA, str. 292, cena zł 250.—

Jest to realistyczna powieść, stanowiąca epopeę z życia chłopów spod Łowicza, gdzie urodził się i spędził dzieciństwo i młodość Julian Gałaj. „MYSTKOWICE WIOSKA MAŁA" jest debiutem autora.

ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

KRONIKA KULTURALNA

TRUDNO POWIEDZIEĆ, dlaczego głośna powieść Stefana Kisielewskiego „Sprzysiężenie" (Wyd. „Panteon" 1947), wywołuje asocjacje „Wspólnego pokoju" Zbigniewa Uniłowskiego. Nie w całości, lecz w swych pierwszych częściach, przedstawiających życie bohaterów jej w Warszawie, przed wybuchem wojny. Dekoracja wprawdzie i tło, na którym się oni poruszają, nie stanowią tego „dna", jakie zobrazował niegdyś (przed 15-tu laty) Uniłowski, ale klimat duchowy, powietrze „Sprzysiężenia" wonieje zapachem podobnym do zaduchu „Wspólnego pokroju". Może pochodzi to stąd, że trzej bohaterowie Kisielewskiego — Zygmunt, Stefan i Henryk — pędzą swą młodość w tych samych czasach, co gromadka „intelektualistów", mieszkająca w zatrutej atmosferze wspólnego pokoju — tj. na jakieś dziesięć lat przed wojną: były to, jak widać, czasy zamętu myśli oraz zepsucia i rozkładu moralnego, nie tylko u nas, w Niemczech bowiem opracowywali po literacku te same czasy Glaeser czy Fink, dając w swych powieściach - reportażach t. zw. „pisaną rzeczywistość", a w Rosji np. — Pantelejmon Romanow („Trzy pary jedwabnych pończoch") albo Sejfulina.

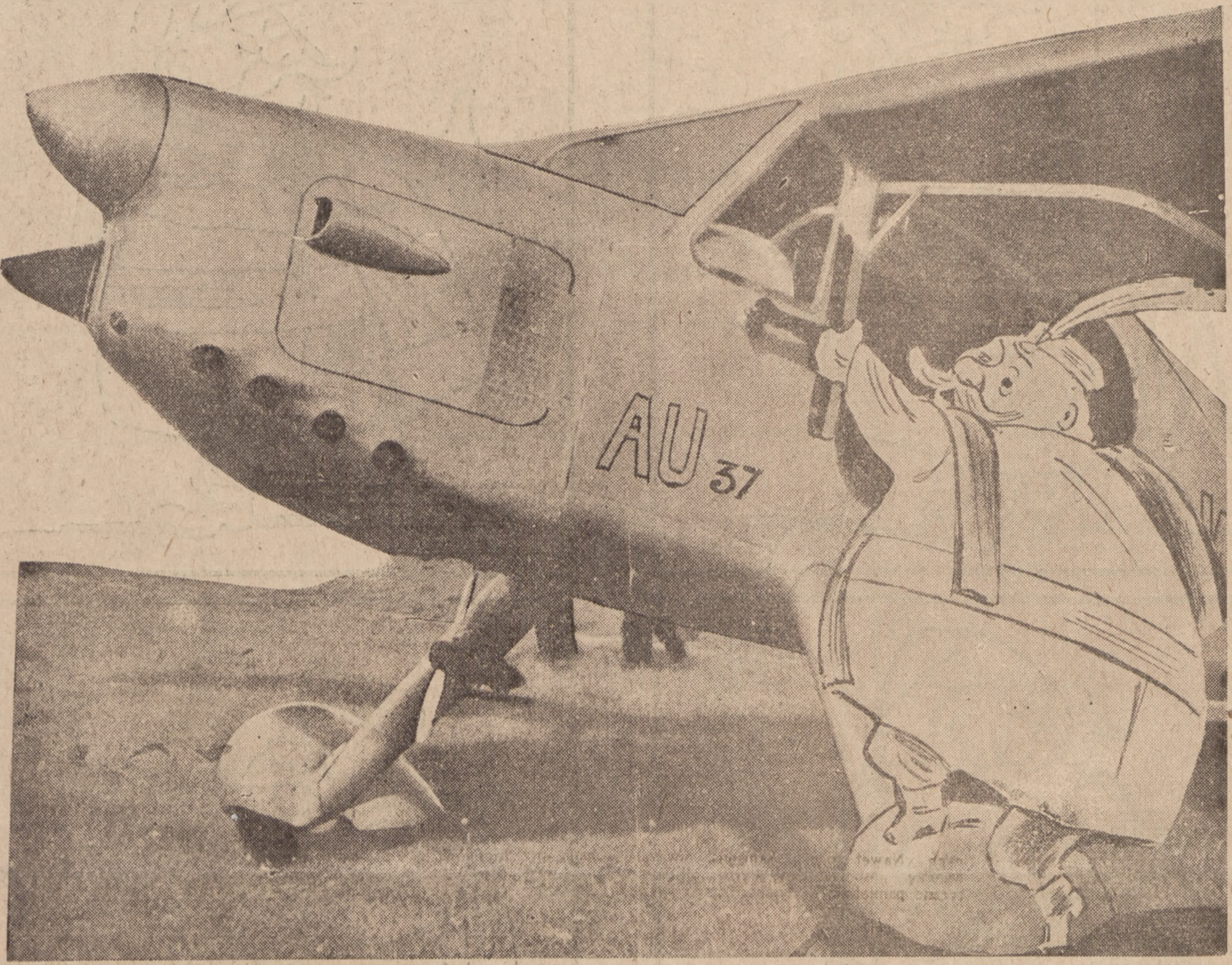
U nas te czasy były istotnie okresem głębokiej deprawacji społeczeństwa, którą być może odczuwaliśmy wówczas jako jej uczestnicy, ale która nie mogła zrodzić nic dobrego, świadcząc o tym kryzysie moralności (w najszerszym słowa znaczeniu, jaki musi się zawsze historycznie zakończyć wielkim wstrząsem — wojną czy rewolucją. Malowidło owych czasów, jakie roztacza Kisielewski w „Sprzysiężeniu", jest, musimy to przyznać, prawdziwe: pederastia i impotentia sexualis, na którą cierpią jego młodzieńczy bohaterowie, a której drobiazgowych opisów à la Joyce nie szczędzi nam autor, ta pederastia i impotencja, to jakby symbole czy oznaki zepsucia społeczeństwa — ściślej: inteligencji. Zatraca ona niejako świadomość swej natury, przestaje widzieć kim jest, przeistacza się w gatunek jakowychś — jakby powiedział Witkacy — „Kobietonów", ni to mężczyzn ni to kobiety, w dziwaczne stwory, przeciwne przyrodzeniu, do tego impotentne — niemocne, niezdolne do działania i czynu, sparaliżowane duchowo. Jakże taka inteligencja może się zachować w groźnej chwili sądu dziejowego, gdy wybucha wojna?

To zagadnienie jest tematem ostatniej części „Sprzysiężenia", opisującej wrzesień r. 1939. Może wojna przyniesie wyzwolenie, rozwiąże chorobliwe kompleksy, oczyści wewnętrznie? Bohater Kisielewskiego „ma tylko jedną myśl: iść na wojnę, wyzwolić się z tego wszystkiego, utopić się w specjalnym, zamkniętym w sobie żywiole wojska, zatracić siebie w dyscyplinie, w marszach, w walce"...

Ale, jak się okazuje, oblicze wojny jest zupełnie inne, niż je sobie wyimaginował chory duchowo inteligent... Powieść Kisielewskiego jest długa, pisana — powiedziałbym — metodą Prousta, pełna reminiscencyj literackich, szczególnie z Conrada, nadto subiektywna jak na powieść, niekiedy prymitywna w ujęciu pewnych spraw i rzeczy, często werbalistyczna i nieraz pod względem stylu naiwnie lub banalnie niewydarzona. Może te jej formalne usterki spowodowane zostały tym, że autor pisał ją w Warszawie, czasu okupacji w latach 1942—1944, zapewne dość gorączkowo, w warunkach nie sprzyjających normalnej twórczości. Jest to zresztą jego pierwocina literacka. Dopiero potem przyszły felietony Kisiela w „Tygodniku Powszechnym", które wyrobiły jego pióro, wydoskonaliły je i wyostrzyły. Ale wymienione usterki nie zmniejszają w niczym wartości „Sprzysiężenia" jako dokumentu epoki, tchnącego prawdą, którą autor pragnie namiętnie wydobyć, i wciągającego czytelnika gwałtownie w wir wydarzeń i przeżyć, oddanych z burzliwym temperamentem pisarskim. „Sprzysiężenie" jest dziełem niezaprzeczonego, zdobywczego talentu, który — stopniowo — jak potok — spłynie w uregulowaną rzekę.

St. Łatko

ŚWIĄTECZNE WIZYTY PANA ZAGŁOBY



Po zapoznaniu się co nieco z nowoczesną Warszawą imć pan Zagłoba, którego nowe przygody śledzą pilnie czytelnicy „Tygodnia", zapragnął złożyć wizyty szeregowi wybitnych osób w kraju i za granicą. Święta Wielkanocne nadarzyły mu świetną okazję. Wsiada więc do wynajętej awionetki i ląduje tam, gdzie mieszkają ludzie, z którymi pragnie porozmawiać.

Nie są to wyłącznie ludzie mili sercu pana Zagłoby. Niejeden z tych, których on odwiedza, w słowach grzecznych ale stanowczych dowiedział się odeń, co pan Zagłoba o nim myśli.

Tym oto sposobem, szybko obleciawszy kulę ziemską, pan Zagłoba wylądował z powrotem w Warszawie i wrócił do...

Ale to także muszą odgadnąć czytelnicy.

Jako człowiek grzeczny i pragnący dostosować się do okoliczności i upodobań swego rozmówcy, podróżnik nasz stara się tak ubrać i z takim przyjść prezentem, aby gospodarzowi sprawić przyjemność. Ale jak często w takich razach zdarza się strój jego i prezenty co niektórego złośliwie mogą dotknąć. Ale to już ani nasza, ani imć Zagłoby, ani imć Jerzego Zaruby, który tę podróż swym ołówkiem opisał — żadna wina.

A teraz czytelnicy odwróćcie kartę i zgadnijcie:

KOMU W POLSCE I NA ŚWIECIE PAN ZAGŁOBA W CZASIE ŚWIĄT WIELKIEJNOCY SKŁADA WIZYTY. A PAMIĘTAJCIE O TYM, ŻE JEDZIE SAMOLOTEM, PEWNĄ OKREŚLONĄ TRASĄ, ZAKREŚLAJĄC KRĄG WOKÓŁ ZIEMSKIEGO GLOBU.

Termin przesyłania rozwiązań upływa z dniem 15 kwietnia rb.

Dla przesyłających na załączonym kuponie trafne odpowiedzi Redakcja „Tygodnia" przyznała następujące nagrody:

I — 5.000 zł.
II — III — 2 nagrody po 2.000 zł.
20 nagród książkowych.
10 prenumerat „Tygodnia" na rok 1947.
10 kompletów „Tygodnia" za rok 1946.

ŚWIĄTECZNE WIZYTY PANA ZAGŁOBY

Odpowiedź na konkurs Czytelników „Tygodnia"

1 .... 7 ....
2 .... 8 ....
3 .... 9 ....
4 .... 10 ....
5 .... 11 ....
6 .... 12 ....

Imię i nazwisko ....

Adres ....

Wypełnić i przesłać do Redakcji „Tygodnia", Warszawa Szpitalna 5 m. 8.

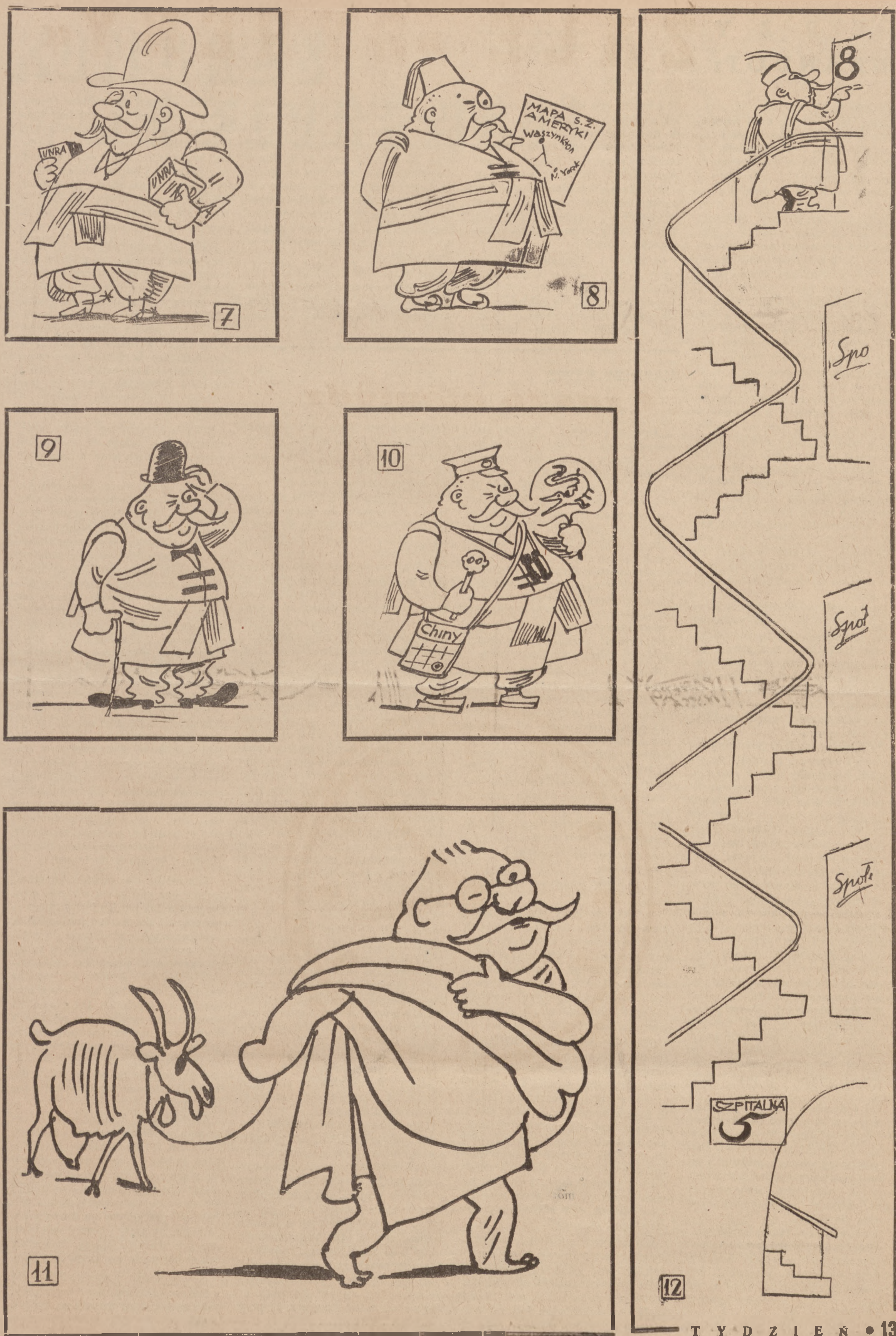
Świąteczne wizyty Pana Zagłoby

odwróć kartkę →

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW „TYGODNIA"

ŚWIĄTECZNE WIZYTY PANA ZAGŁOBY




UNRA
UNRA
7
MAPA S.Z. AMERYKI
Waszyngton
N. York
8
9
10
Chiny
11
8
Spo
Spot
SZPITALNA
5
12

JERZY JURANDOT: ŻALE »SYRENY«

Zaczęło się to wszystko od przypadku. Nikt z nas nie miał pojęcia, na czym polega spółdzielczość i czy to się nie odnosi tylko do masła, jaj i innych artykułów spożywczych, hasło zaś „społem" łączyliśmy z przyzwyczajenia z „czołem" i „niebawem".

Ale zespół artystyczny przyszłej „Syreny" od kilku miesięcy o głodzie i chłodzie czekał na wykończenie sali, w której wreszcie będzie mógł się produkować. Działo się w roku pańskim 1945, wczesną wiosną. Entuzjazmu i optymizmu nam nie brakło, brakło natomiast tzw. „podstawy bytu" i to w stopniu wysoce uciążliwym. Ktokolwiek zaś miał kiedykolwiek do czynienia z budową czy remontem, ten wie, że te rzeczy nigdy się nie kończą. Zdawałoby się, że już, że zaraz, że jutro będzie gotowe — a tymczasem tu jeszcze zacieka, tam nie dochodzi, a ówdzie tego i owego brak. I wreszcie pewnego dnia wymydliła się resztka skromnej sumy, złożonej na ręce niżej podpisanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki dla stworzenia nowej placówki teatralnej w wicestołecznym mieście Łodzi.

Co robić? Aktorzy czekają na teatr, robotnicy zatrudnieni przy budowie na swoje dniówki, a forsy nie ma...

Bardzo smutni udaliśmy się — ci najbardziej zawzięci — do poważnej instytucji finansowej z prośbą o pożyczkę. Bo jakże — sala prawie gotowa, program napisany i cyzelowany od kilku miesięcy, po nocach śnią nam się tłumy szturmujące do kas teatru — i teraz właściwie przez głupie paredziesiąt tysięcy mielibyśmy zrezygnować?

Poważni panowie w poważnej instytucji finansowej poważnie się zamyślili. Dać daliby chętnie, owszem, bardzo lubią teatr i przyznają, że trzeba krzewić na niwie — ale komu niby mają dać? Nam prywatnie? No nie... Więc komu? Teatrowi? Teatr jeszcze nie istnieje, a instytucja nieistniejąca nie może zaciągać pożyczek. Takie prawo i już.

— O, gdyby obywatele na przykład budowali teatr dla państwa — powiedzieli — no, państwu można od biedy taką sumę zaufać... Albo gdybyście byli na przykład spółdzielnią... Zawsze jest zapis w rejestrze handlowym i wiadomo przynajmniej kto nie zwróci długu, jeżeli się impreza nie uda.

Spółdzielnia! Spojrzeliśmy po sobie i zajrzeliśmy w głąb naszych dusz: tak, to było właściwie to, to było odpowiednie słowo, to był klucz. I w ten sposób powstała pierwsza spółdzielnia pracy aktorów.

Od tego czasu minęły dwa lata i raz jeszcze w historii świata okazało się, że wielkie odkrycia dokonywują się dzięki przypadkowi. Dziś my wszyscy, obecnie znakomici fachowcy od spółdzielczości, twierdzimy jak najbardziej stanowczo: to jest właśnie najodpowiedniejsza forma dla teatru.

I nie tylko my tak twierdzimy.

Przed wojną podstawy finansowe zapewniał teatrowi tak zwany w gwarze aktorskiej „plantator", który wzamian za inwestowane w wystawę i w ogóle pieniądze zgarniał do kieszeni całą kasę teatru, co zwykle nie było złym interesem. Toteż do tego „interesu" brali się na ogół ludzie niepowołani, różnego rodzaju handlarze sztuką, którzy — rzecz zrozumiała — dbali znacznie bardziej o kasę niż o klasę teatru. A że poziom nie zawsze popłaca, raczej odwrotnie — „plantator" nie miał dobrego wpływu na poziom swego „przedsiębiorstwa".

Instytucję „plantatorów" nowe czasy zniosły, żaden prywatny kapitalista nie może sobie więcej założyć teatru tak jak się zakłada sklepik z wodą sodową. Hasło „teatr dla kas" zastąpiono hasłem „teatr dla mas". Bardzo słusznie i pięknie. Ale skąd brać pieniążki, których ta instytucja potrzebuje dość dużo, bo przecież artyści nie samą sztuką żyją, bo przecież teatr to wielka i skomplikowana aparatura techniczna, której każde kółeczko trzeba odpowiednio posmarować, żeby dobrze funkcjonowało, bo przecież wystawa każdej sztuki — dekoracje i kostiumy — pochłania dziś sumy idące w grube setki tysięcy.

Otóż w zasadzie przewidziane jest przez tzw. czynniki kompetentne istnienie teatrów trojakiego typu: państwowych, miejskich i spółdzielczych.

Teatr, którego gwarantem finansowym jest państwo, jest bez wątpienia w sytuacji najszczęśliwszej. Kierownictwo troszczy się wówczas wyłącznie o dobór odpowiedniego repertuaru i odpowiedniej obsady wyboru sztuk, strona finansowa schodzi na plan drugi, bo — o to niech się martwi państwo i niech państwo w razie potrzeby buli.

Dalej idą teatry miejskie, typ dość rozpowszechniony. Ale przeciw teatrom utrzymywanym przez samorządy prowincjonalne wypowiadają się wszyscy, którym sprawa teatru leży na sercu. Dlaczego? To jasne. Bo miasto płaci i miasto wymaga. A to, czego wymaga miasto, jest często bardzo dalekie od tego, czego by pragnęło kierownictwo teatru i zupełnie niezgodne z tym co jest intencją Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Pozostają wreszcie teatry spółdzielcze. I — zdaje się — to jest właśnie najwłaściwsze rozwiązanie na szeroką skalę.

Teatry spółdzielcze, finansowo samowystarczalne, artystycznie podlegają wyłącznie dyspozycjom centralnego ośrodka tj. Ministerstwa Kultury i Sztuki. Nie mając finansowego gwaranta w osobie państwa czy miasta, teatr spółdzielczy musi być z konieczności teatrem zrzeszeniowym udziałowym, bo inaczej nie byłby samowystarczalny i musiałby się przewrócić przy pierwszym niepowodzeniu. Wynika z tego rzecz bardzo przyjemna: wszyscy pracownicy takiego teatru czują się zań współodpowiedzialni, wiedzą, że wyłącznie od ich wysiłku zależy powodzenie placówki, od którego to powodzenia są z kolei zależni i artystycznie i materialnie. Więc nie żałują wysiłków dla uzyskania jak najlepszego rezultatu a przecież w teatrze właściwie oto chodzi. Ponieważ część dochodu spółdzielni obraca się na inwestycje, wszyscy czują się przy tym współgospodarzami swojej budy i to poczucie wytwarza w nich specjalny, cieplejszy niż zazwyczaj, stosunek do teatru.

Zdawałoby się: pięknie. Owszem, byłoby bez zastrzeżeń pięknie, gdyby jeszcze tak bardzo indywidualna, niesforna i do niczego nie podobna instytucja jak teatr dawała się wtłoczyć grzecznie i bez reszty w ramy paragrafów i przepisów spółdzielczych. Ale tak, niestety, nie jest. Tu coś nie klapuje, tam coś się nie zgadza, tu nie wychodzi. Od dwóch lat prowadzimy spółdzielnię, od dwóch lat nieustannie przykrawamy i przystosowujemy statut spółdzielni pracy do specyficznych wymogów teatru. W gruncie rzeczy chodzi o detale, ale detale najlepiej potrafią zatruć życie.

Gdybyż tak władze spółdzielcze wspólnie z Ministerstwem Kultury i Sztuki i Związkiem Artystów Scen Polskich zechciały pogłowić się nieco i wykoncypować wzorowy statut dla tego rodzaju instytucji! Ręczymy, że wówczas społem i niebawem jak grzyby po deszczu powstawać by zaczęły teatry spółdzielcze i że teatr dzisiejszy znalazłby dla siebie właściwą formę istnienia.

A „Syrenie" wystawiłoby się wówczas jakiś skromny pomniczek, jako że pierwsza wpadła na ten pomysł.

Stanisław Dygat

Czas to pieniądz

„Czas to pieniądz". „Szanuj czas swój i cudzy". Takie i podobne hasła słyszymy często, lub widzimy wypisane kaligraficznie na ścianach, ale to wszystko nieprawda. W Polsce nie szanuje się czasu, ani swojego, ani cudzego. W Polsce stosunek do czasu nie wytrzymuje żadnego porównania z tak wysoce życzliwym, pełnym szacunku i entuzjazmu stosunkiem do pieniądza. Czas jest u nas pojęciem mętnym, nieokreślonym i niekoniecznym w organizacji życia. Polacy pogniewali się kiedyś z czasem, nie chcą z nim utrzymywać żadnych stosunków i udają, że go nie poznają na ulicy.

Właściwie na co ludziom w Polsce zegarki? Kwestia spotkania się z kimś, z kim się umówiło na daną godzinę, jest wyłącznie kwestią przypadku, który wcale się nie wiąże z oznaczoną wskazówkami na cyferblacie godziną. Ile godzin i energii tracimy dziennie przez to, że dla przeciętnego obywatela naszego kraju nie ma żadnej różnicy między godziną 5 a 6? Dzień cały ludzie uganiają się po mieście za sobą i za pogubionymi godzinami.

— Czy jest pan dyrektor?

— Nie ma.

— Przecież kazał mi przyjść o 11-tej.

— Tak, ale teraz jest dwunasta, a pan dyrektor wyszedł o dziesiątej, bo umówił się na dziewiątą z panem prezesem, który przyjechał ze Szczecina i dotąd go nie ma. Niech pan przyjdzie o pierwszej, bo o wpół do dwunastej pan dyrektor ma ważną konferencję, to przedtem zdąży go pan złapać.

Ci dwaj nie załatwią dzisiaj interesu, który wymaga tylko pięciominutowego omówienia. W gęstym lesie zbłąkanych godzin i terminów szukać się będą jeszcze parę dni, aż w końcu wpadną na siebie gdzieś na rogu Szpitalnej i Przeskok, umówią się na dzień następny i albo się spotkają, albo nie. Rozwiązać zadanie: ile godzin i ile pieniędzy tracą ci dwaj panowie i ile osób pomniejszych nie może przez parę dni zjeść obiadu, albo odebrać z pralni chusteczek do nosa?

Wyznaczane godziny spotkań i terminy przypominają u nas raczej ruletkę, niż planową organizację dnia. Napoleon spóźnił się pod Waterloo o 5 minut. Te pięć minut wpłynęły podobno na bieg historii. Minuty i godziny, o które my się spóźniamy, nie mają, aż tak monumentalnego wpływu na historię, ale zebrane razem z całej Polski tworzą bądź co bądź dezorganizację, na którą tak lubimy wyrzekać.

Skąd się w nas bierze ta dysharmonia i niezgoda ze starym jak świat czasem, cieszącym się wszędzie indziej w świecie należnym szacunkiem?

Jest to niezmiernie głęboko rozwinięte w nas poczucie wolności osobistej i związana z tym niechęć do narzucania nam, naszej fantazji, naszym chwilowym nastrojom, jakichkolwiek więzów i przymusu. Czas, który stworzyła Natura dla ułatwienia i porządku naszych spraw, jest dla nas niemiłym tyranem, którego należy oszukiwać, przed którym trzeba się wykpiwać.

Umówiłem się z przyjacielem punkt o dziewiątej przed B. G. K., mieliśmy iść w bardzo ważnej sprawie do magistratu. Byłem minutę przed dziewiątą. Czekałem dziesięć minut, piętnaście, dwadzieścia. Rozglądałem się dokoła, wypatrywałem wyloty ulic, z drżeniem przyjmowałem wszystkie tramwaje i autobusy. Na darmo! Czy myślicie, że mu się coś przytrafiło, że przynajmniej zaspał, albo zapomniał? Bynajmniej! Siedział sobie na kamiennej płycie w Alejach Jerozolimskich o jakieś kilkaset metrów ode mnie i nie chciało mu się ruszyć, bo właśnie rozpamiętywał sobie dzieciństwo.

O pół do dziesiątej zobaczyłem go z daleka. Stał przed ogłoszeniami i czytał stary plakat baletu Parnella. Potem zatrzymał jakiegoś znajomego i dłuższą chwilę rozmawiał z nim o przedstawieniu „Żołnierz Królowej Madagaskaru".

Gdy spotkaliśmy się wreszcie i uczyniłem mu wyrzuty, popatrzał na zegarek i powiedział z pretensją: „czego się czepiasz, jest dopiero za piętnaście dziesiąta!"

Tyle się urządza konkursów! Konkurs uprzejmości, konkurs płakania na „Zapomnianych piosenkach". Czy nie można by zorganizować konkursu punktualności? Mam nawet dokładny projekt, jak taki konkurs urządzić, ale już nie zdążę go opisać. Jest pół do trzeciej, a ja umówiłem się o dwunastej w barze „Styl" z redaktorem „Tygodnia", żeby doręczyć mu ten felieton. Zresztą boję się, że go już nie zastanę, bo umówiłem się przedwczoraj. Liczę na odrobinę szczęścia, że przypadkiem tam będzie.

KONGRES (IV) WE FLORENCJI

(Opowiadanie historyczne)

Wziął serkę, poszedł do jadalnego, wytarł wino, które przez ten czas wsiąkło w serwetę i skapało na podłogę, nalał znowu szklankę i powrócił do kuchni. Dał Carli wina:

— To dobrze zrobi, niech pani wypije — powiedział. Carla wypiła, stukając o szkło zębami. Ręce miała okopcone przy zapalaniu pieca. Manu zawiesił na sznurku nad płytą zmoczoną ściereczkę. Kawa już się gotowała.

— Kawa, kawa — zawołał na Carlę.

Razem porwali imbryk. Manu ustawił go na tacce, Carla dostała z szafki filiżaneczkę i cukier. Ręce ich spotykały się na naczyniach. Wyraz twarzy Carli szybko się zmieniał, gotowa była już się śmiać. Spojrzała na Krasowicza wzrokiem pełnym zaufania i bystrych iskierek. Karłowicz ośmielił się.

— Dlaczego pani mówi, że pani jest brzydka. Pani wcale nie jest brzydka — powiedział nagle.

— Tsss!. — odezwała się Carla, kładąc palec na ustach i podnosząc pełne wyrazu brwi w górę. — Tsss! Teraz zaniesiemy kawę tatusiowi.

I teatralnym krokiem, na palcach, trzymając tacę w obu rękach, gotowa się roześmiać każdej chwili ruszyła z kuchni do „ogólnego" pokoju, a potem dalej. Krasowicz, mimo woli naśladując jej sposób chodzenia, szedł przy niej i otwierał przed nią drzwi. Tak doszli do przedpokoju. Carla zapukała do drzwi ojca, rozległ się senny długi jęk:

— A co tam?

— Kawa, tatusiu!

— Za długo gotowałaś. Już nie chcę. Daj mi spać. Carla wzruszyła ramionami, wymownie patrząc na Krasowicza. Ten zaśmiał się cicho. Carla znowu położyła palec na ustach, ale odjęła rękę od tacy, taca się zachwiała. Krasowicz podtrzymał obu rękami tacę, i nieznacznie, dość jednak wyraźnie, skierował Carlę do swojego pokoju. Carla ani się zdziwiła, ani opierała; weszła do tego pokoju, nie zapalając światła, od jasnego nieba, od latarni ulicznych było tak niebiesko, że widzieli przedmioty i nawzajem swoje rozszerzone źrenice. Carla postawiła kawę na stoliku, nalała z czajnika do filiżanki, włożyła kawałek cukru i podała Krasowiczowi. Krasowicz upił trochę i podał filiżankę Carli. Wzdragała się, więc lewą ręką ujmując jej ramię, prawą podniósł jej filiżankę do ust; ścisnęła go za ramię, upiła trochę. Potem on się napił. Stali tak bez słowa w ciemnym pokoju, trzymając się za ręce, a jednocześnie pijąc po łyku wonnego płynu. Gdy filiżanka się skończyła, Krasowicz podał z okna kłosz z winogronami, na które upadła kropla jego krwi, zaczęli jeść te winogrona. Carla, śmiejąc się cicho, nalała jeszcze kawy, potem Krasowicz na palcach, skradając się jak złodziej, przyniósł owe wino ze stołowego, pili na przemian kawę i wino, dławili w ustach zimne od nocy ziarna słodkich jak miód winogron.

— To pani mi postawiła te winogrona? — szeptem zapytał Krasowicz.

— Tsss... raz jeszcze syknęła Carla tym razem dwa palce krzyżując na wargach. Śmiała się już przy tym wyraźnie.

Stali przy otwartym oknie, z którego szedł chłód. Krasowicz z zachwytem spoglądał to na Carlę, to na szafirowe, głębokie niebo pełne powiększonych gwiazd. Wzięli się instynktownie pod ręce. Patrzyli jak oczarowani ku ogrodom wspinającym się tarasami tuż za oknem. Na górze, na piazzale ktoś śpiewał:

„...Co noc się u mnie zjawiasz we śnie.
Powiedz, o słodka, pocóż tak wędrujesz,
I kto do ciebie we śnie tak przychodzi?..."

— Jutro musimy o wszystkim pomówić — powiedział Emanuel do Carli.

— Jak panu na imię? — spytała, odwracając ku niemu głowę i jak gdyby dziwiąc się, że mają o czymś mówić. Zdawało się, że zapomniała zupełnie o swoim wybuchu.

Czuł pod rękami jej szczupłą wiotką kibić:

— Emanuele! — powiedział czułym szeptem.

— Emanuele! Dio mio! — w głosie jej zabrzmiało rozczarowanie.

— Jaka piękna, piękna noc — dodał jeszcze. Śpiew na górze zaczął się na nowo.

Popatrzył przez chwilę na niebo, potem odwrócił się i pocałował Carlę. Nie broniła mu ust, ale potem usunęła się z jego rąk, szybkim ruchem zabrała tackę ze stołu i znikła jak widziadło. Cicho zamknęła drzwi za sobą. Krasowicz słyszał jak zgasiła światło w stołowym pokoju i więcej nic. Położył się, ale nie mógł spać. Kawa, wino, wspomnienia kobiet nie pozwalały mu zasnąć.

Dopiero nazajutrz wydało mu się wszystko trudne. Zbudził się niechętnie, dzień przynosił niepotrzebne komplikacje. Profesor zajrzał przez drzwi i nawoływał go do wstania. Podziwiał w nim tę rzeźkość starości, łatwość życia i niedostrzeganie jego złożoności. Posiedzenie z odczytami zaczynało się już o dziesiątej, trzeba było się śpieszyć. Manu nie zobaczył Carli tego ranka. Ale próbował poszukać pewnych wyjaśnień w rozmowie z profesorem kiedy szli w kierunku uniwersytetu. Zapytał profesora, czy nie widzi jakiego sposobu okazania pomocy Lucchesim, że rzeczywiście strasznie jest przykro patrzyć, jak ta dziewczyna męczy się okropnie, że ta cała stara panna Goethe, udaje świętą, ale żyć im nie daje o te pieniądze...

— O pieniądze? Jakie pieniądze? — spytał profesor — a pan skąd o tym wie?

— Mówił mi Lucchesi — skłamał Krasowicz.

— E, baje stary dziad. A zresztą co nam do tego? Gdybyśmy chcieli pomagać wszystkim biednym ludziom na świecie...

Myśl o tym, jak pomóc familii Lucchesich, zajmowała Krasowicza do tego stopnia, iż nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, że z pominięciem profesora Cielińskiego został zaproszony do stołu prezydialnego. Siedzieli już tam Schwartzenberg, jakiś Włoch, Węgier, Duńczyk, owa Szkotka, założycielka Europejskiego Towarzystwa Intelektualistów, pani Soudray i kilka innych osób. Najpierw gadał jakiś wspaniały Włoch, zaczęły się oklaski, powitania, hymny. Włoch powiedział — jak trzeba było — kilka uprzejmych słów pod adresem znakomitego historyka, profesora Cielińskiego" — czym, zdawało się, chciał naprawić gaffę prezydialną, bo ani słowa nie wspomniał o Krasowiczu ani o Luśniaku. Potem zaczął się zasadniczy odczyt na temat „Historia i kultura" wygłaszany przez jakiegoś niemieckiego profesora, który mówił pięknie, ale bardzo trudno. Krasowicz przez cały czas widział przed sobą zapłakane oczy Carli i słyszał jej syknięcie, palce przyłożone do ust takim słodkim włoskim gestem, który się starał naśladować. Mniej więcej po pół godzinie marzenia obudziła go czyjaś ręka podsuwająca mu kartkę papieru. Spojrzał. Hrabina Soudray, siedząca za jego sąsiadem, podała mu ten papier za plecami Węgra. Wziął machinalnie i przeczytał.

— A qui pensez vous?

Napisał
JAROSŁAW
IWASZKIEWICZ

Nie namyślając się długo, porwał ołówek z prezydialnego stołu, gdzie leżały w obfitości, przeznaczone do innych celów, i napisał szybko:

— ...a vous, madame!

I oddał ręce w czarnej rękawiczce, która z chciwością wysunęła się zza pleców grubego Madziara. Hrabina przeczytała, uśmiechnęła się i znowu po chwili podała mu kartkę:

— Ecoutez ce monsieur, il parle vraiment bien. Et s'est très important tout ce qu'il dit.

Emanuel przeczytał te słowa i starał się rzeczywiście słuchać. Ale widocznie tyle już opuścił z odczytu, że nie wiele mógł uchwycić z ogólnego wątku. Uczony mówił trudną i pretensjonalną niemczyzną, panującą w kołach zbliżonych do Stefana George. Nieosłuchane ucho z trudnością wyławiało konkretny sens spiętrzonych zdań, a cóż dopiero było zrozumieć sens ideowy przemówienia. Słowo „kultura" wracało raz po raz na usta profesora, wymawiane ze szczególną lubością. Wreszcie Emanuel zrozumiał, iż przeprowadza on pewnego rodzaju paralelę pomiędzy kulturą Francji i kulturą Niemiec. Schwartzenberg uśmiechał się i potakująco kiwał głową. Za jego krzesłem, schowany w cieniu, siedział chudy, czarny człowiek o dziecinnej jeszcze twarzy. Był to sekretarz Schwartzenberga, właściwy motor całego interesu, szara eminencja Europejskiego Związku Intelektualistów. On to podobno podsuwał tematy i prelegentów.

W momencie, kiedy profesor umacniał Europę tym, że elementy kultury niemieckiej i francuskiej wzajemnie się uzupełniają, uwaga opuściła znowu Krasowicza i znowu myślał, co właściwie powinien uczynić Lucchesi. Oczywiście pensjonat należało zwinąć. Tak prowadzić niepodobna. Pannę Goethe wylać, a oni niech zamieszkają w Ferrarze; stary ma jakąś emeryturkę, Carla nauczy się pisać na maszynie, koło Ferrary są cukrownie, może pracować w jakimś składzie cukru. Ale skąd wziąć pieniądze na zapłacenie długów? Sama panna Goethe żąda trzech tysięcy, co prawda przeliczywszy na złote nie jest to wiele; ale co tu mają złote do roboty! „Gdybyśmy chcieli pomagać wszystkim biednym ludziom"... Nawet gdybym chciał, nie mógłbym tych długów popłacić. Co tu dużo gadać? Po namyśle postanowił nie iść na śniadanie do rektora, wrócić na piazza Giuseppe Poggi i pogadać rozsądnie z Carlą. Tak przecież nie można naprawdę żyć.

Z rozmyślań obudziły go oklaski, profesor skończył, skłonił się i schodził z katedry, wycierając zaczerwienioną twarz białą chustką. Przed dyskusją nastąpiła mała przerwa Cieliński podszedł do Emanuela, twarz miał rozjaśnioną:

— Prawda jak mówił? Przyjemność jest słuchać takiego wykładu!

— Nadzwyczajnie — z głębokim przekonaniem przyznał Krasowicz.

Po pauzie zaczęła się dyskusja. Dość długo mówił jakiś Francuz, potem bardzo rozsądny Węgier, ten, co siedział między panią Soudray a Emanuelem. Przez czas jego przemowy Krasowicz sąsiadował bezpośrednio z piękną hrabiną, ale pomimo porannej korespondencji, ku swojemu zdumieniu, nic jej nie znalazł do powiedzenia. Uśmiechali się tylko do siebie, ilekroć ich oczy się spotkały. Krasowicz miał wrażenie, że zna tę panią od dawna. Jeszcze i jeszcze ktoś gadał. Wreszcie Krasowicz zauważył, że Luśniak się zjawił na katedrze. Spojrzał na profesora Cielińskiego i spostrzegł, że ten poczerwieniał jak burak. To, co powiedział Luśniak, z wielką zresztą swadą i przesadnym akcentem francuskim, było wyjątkowo głupie i płaskie. Upomniał się o udział Polski w kulturze europejskiej, zarzucił mówcy, iż nie powiedział o tym ani słowa, wstawił wzmiankę o Wicie Stwoszu i o Chopinie, i zapowiedział, że następny zjazd Związku odbędzie się w Krakowie. Słabe oklaski rozległy się po zejściu Luśniaka z mównicy którą zaraz zajęła gruba Rumunka z łańcuchem pereł na szyi i na głowie. Tym razem profesor Cieliński przysłał Krasowiczowi kartkę przez woźnego. Pisał w niej:

„Niech się pan koniecznie zobaczy ze mną podczas śniadania u rektora. Muszę się z panem naradzić."

Emanuel zaklął z cicha, nie będzie mógł wrócić do pensjonatu, aż dopiero wieczorem. Carla na pewno czeka, miał wrażenie, że czeka; od niego zależą ważne sprawy, a tutaj tymczasem te hece kongresowe. Na szczęście śniadanie u rektora odbywało się w tym samym gmachu, gdzie się toczyły obrady i przy tym nakryto dwa duże bufety i jedzono à la fourchette. Emanuel z łatwością odnalazł profesora, który z pełnym talerzem w ręku i czerwony z gniewu perorował Luśniakowi podrządną admonicję.

— Nie wolno się panu wyrwać bez porozumienia z delegacją, z jej kierownikiem. Każdy krok, każde słowo musi być uzgodnione. Skąd się pan wyrwał z tym Krakowem? Będę musiał depeszować do Warszawy, aby mi pozwolono potwierdzić pańskie zaproszenie. Czy pan ma pojęcie, ile to kosztuje?

Luśniak dąsał się wyraźnie.

— Co kosztuje? Jakto kosztuje? — zapytał, mrużąc swoje czarne błyszczące oczy.

— No, taki zjazd, urządzenie takiego zjazdu. Przecie to grube pieniądze trzeba na to wydać. Włosi mogą sobie pozwolić, ale my...

— To ściąga turystów — bąknął słabo Luśniak, który najwidoczniej o kosztach takiego kongresu słabe miał pojęcie.

— Dobrze, że pana widzę — powiedział Cieliński do Emanuela. — Co ja mam robić, niech mi pan powie, po wyrwaniu się pana Luśniaka, Czy zażądać głosu zaraz po śniadaniu i postarać się naprawić to wystąpienie?

— Takich rzeczy naprawić się nie da — powiedział Krasowicz zimno, patrząc na Luśniaka, który stał czerwony jak mak i począł się rozpaczliwie. — Najlepiej jest na razie nic nie mówić; a jutro w ogólnej dyskusji zabierze pan głos, panie profesorze... no, i na pewno wrażenie poprawi się samo przez się.

— No, a pan nic nie mówi?

— Ja wolę milczeć — zaznaczył Krasowicz.

— Przez ten czas będę mógł zadepeszować do nas o pozwolenie zaproszenia Zjazdu do Krakowa. Zadepeszuję: „Tutaj oczekują zaproszenia Zjazdu na przyszły rok do Krakowa, czy mogę to zrobić — Cieliński". Tak chyba będzie dobrze?

Pani Soudray zbliżyła się do nich.

— Czy pan wie — zapytała Emanuela — gdzie pan jest jutro na śniadaniu?

Krasowicz ukłonił się.

— W hotelu „Briatannia" u pani. Mam szczęście... — dodał po chwili.

— Och, pan nie docenia tego szczęścia. Będzie pan jutro w teatrze?

— Nie wiem nawet co dają?

— „La Scala" przyjechała i niech pan sobie wyobrazi dają... „Śnieguroczkę" Rimskiego-Korsakowa.

— Nadzwyczajny pomysł — zaśmiał się profesor — dlaczego nie coś włoskiego?

— Dziwaczne — powiedziała hrabina — ale to bardzo ładna opera. A panowie czy mają już bilety?

— Dziękuję pani, mamy wyznaczone, otrzymaliśmy je razem z programami.

— Ja tam na Rimskiego-Korsakowa nie pójdę — ponuro zauważył Luśniak.

Krasowicza olśnił pomysł.

— Niech mi pan odstąpi swoje miejsce. Dobrze?

— Z miłą chęcią.

— Będę się mógł nim rozporządzić? — i uszczęśliwiony ze swojego pomysłu, uśmiechnięty jak dziecko Manu pochylił się nad uchem profesora i szepnął tajemniczo. — Zaproszę do teatru Carlę, będzie w siódmym niebie.

Profesor spojrzał na Emanuela przez okulary, wysoko wznosząc brwi i fałdy na czole, poruszając białą czupryną. Ale nic mu nie powiedział, tylko pogroził palcem. Luśniak poszedł za panią Soudray. Krasowicz został sam. Nawet tego nie spostrzegł, zdawało mu się, że już nie ma w pensjonacie żadnych trudności. Śniadanie skończyło się i zaczął się drugi odczyt, potem pojechano autokarami zwiedzać miasto. Pod wieczór zjechali się w pensjonacie, aby się tylko przebrać. Emanuel wpadł rozpromieniony do kuchni, gdzie Carla coś prała w wielkiej miedzianej misce. Podniosła na niego oczy rozjaśnione uśmiechem.

— Panno Carlo! Panno Carlo! Idziemy jutro do teatru! Teatr „La Scala" daje fantastyczną rosyjską operę, która się nazywa „Śnieguroczka"! Niech pani to wymówi!

— Ja? do teatru? Sama z panem? Ależ to nie wypada!

— Będziemy w jednej loży z profesorem, to solidna opieka.

— Ja? Do teatru? Na operę? Ależ ja nie mam w co się ubrać ?

— Pani tak ślicznie wygląda, jak teraz.

— Rzeczywiście, ale nie na operę — do loży!

— Na razie nie mam czasu, muszę się przebrać. Proszę o gorącą wodę do golenia.

(Dalszy ciąg w następnym numerze).

SWIĘCONE



Małymi kroczkami, wolno, przeszedł pomiędzy dwoma rzędami wąsatych szlachciców.

DOKTÓR był mały, czarny, chudy jak szczotka, w pudrowanej peruce z harcapem. Czarne jak smoła oczy świeciły spod krzaczastych brwi, zrośniętych nad długim spiczastym nosem. Małymi kroczkami, wolno, przeszedł pomiędzy dwoma rzędami wąsatych szlachciców, jakby nas nie spostrzegając, i zniknął w drzwiach do sypialni wojewody. Ciszę po jego przejściu przerwał dopiero głos, świeżo przybyłego na dwór, pana Soluhuba, Rusina, który nie mogąc się opanować, rzucił w zdumieniu.

— Tfu! Ki czort?!

I przeżagnał się ukradkiem. To rozwiązało nam gęby.

— Cóż za nikczemna postura! — rzekł pan Kossobudzki, herbu „Sielawa". — Że ten pan wojewoda daje się leczyć takiemu pokurczowi! Cóż za sciencia może być w tak marnym ciele...

— Niech diabli porwą tych zagranicznych lekarzy. — huknął porywczy pan Jundziłł i żyły nabrzmiały mu na czole. — Wszystko heretyki!

— Co mówisz, panie bracie! — odparł pan Stróżycki, rotmistrz usarski. — Doktór Makaroni był katolik.

— Jako żywo, katolik! A przy tym i tuszę miał znaczną, jak na człowieka z prostego stanu, choć zbyt małą na szlachcica.

— I śmierć miał szlachecką; szlak go trafił po libacji. Daj mu Boże wieczny odpoczynek. Niejednąśmy z nim beczkę opróżnili.

— Toteż i teraz wojewoda musiał sprowadzić tego pokurcza.

W tej chwili musieliśmy się rozstąpić, bo do komnaty wtoczył się wielebny ojciec Serafin. Mnich był wzrostu pod powałę, a tuszy tak wspaniałej ,że trzech szlachciców, trzymając się za ręce, ledwo objęłoby go w pasie. Twarz miał wielką i różową jak talerz barszczu. a nos szkarłatny jak turecki pieprz.

— Przez Boga miłościwego, panowie bracia, — zawołał sapiąc jak miech — co się stało?

— Jakto, nie wiesz, ojcze wielebny?! Nieszczęście, ojcze, wojewoda nam zachorował. Dostał po wczorajszym piciu kolki takiej, że myśleliśmy, iż nam zemrze. Szczęściem też u biskupa w Sandomierzu bawił sławny doktór, który leczył nawet samego króla Augusta. Kopnęliśmy się poń więc i przywieźli raptem — opowiadał jeden z powracających z tej wyprawy dworzan.

— A już mieliśmy posyłać po ojca z wijatykiem. Tak źle było.

— Czemuż to po mnie? Ma przecie tu pan wojewoda spowiednika bieglej w teologii ćwiczonego, niż ja — prosty mnich.

— Cóż, że biegly w teologii, kiedy nie pije... Toteż wojewodzie waść bardziej po sercu. O i teraz ów ksiądz twierdzi, że ta choroba to kara za grzech pijaństwa w czasie postu.

Mnich stanął w purpurze jak zachodzące słońce.

— Jakżeż to — zahuczał — czyż jest gdzieś w przepisach kościelnych o winie?! Na zbawienie duszy, ani słowa tam nie ma. Mięsa tylko nie wolno i tego też wojewoda chwalebnie przestrzega. Cały wielki post jem ryby, jak wydra. Ale co do wina, to łgarstwo, jakem bernardyn!

W czas naszej rozmowy w komnacie trwał ruch nieustanny, przebiegali paziowie, to damy z fraucymeru wojewodziny, niosąc jakieś lekarstwa, kataplazmy, lewatywy i inne rzeczy, choremu pomoc niosące, coraz to znikając za drzwiami sypialni. Nie minęło i trzech pacierzy, jak wyszedł stamtąd, marszałek dworu wojewody, pan Placyd Kalinowski, z hetmanem spokrewniony i rzekł z westchnieniem ulgi:

— Mości panowie, wojewodzie ...już lepiej.

Cisnęliśmy się ze wszystkich stron z pytaniami.

— Ho, ho — mówił pan Kalinowski, ocierając pot z czoła — ten doktór to mądra sztuka. Od razu dał wojewodzie lewatywę z oliwy prowanckiej i wnet mu ulżyło. A potem gorące okłady, kataplazmy, synopizmy. Na koniec włożył mu w gębę piórko, wojewoda zwymiotował i teraz czuje się jak nowonarodzony. Coś tam gadają na osobności.

I wrócił do sypialni. Wnet jednak drzwi się znów otwarły i wyszedł z nich doktór z miną triumfatora. Znów, niby nie dostrzegając nas, z zadartym nosem przeszedł drobnym kroczkiem do wyjścia i zniknął. Po chwili zaś we drzwiach sypialni ukazał się marszałek.

— Wojewoda prosi waćpanów.

Ruszyliśmy hurmem. Na olbrzymim łożu z baldachimem leżał, oparty o poduszki, wojewoda. Wspaniałej twarzy jego już nie wykrzywiał wyraz bólu, atoli bladość świadczyła o przebytym cierpieniu. Kiedyśmy stanęli przed nim z olbrzymim ojcem Serafinem na czele, spojrzał na nas smutnie i nagle zapłakał.

— Na Boga, mości wojewodo, co się stało?! — zawołał przerażony bernardyn. — Czy cię jeszcze boli?

— Nie boli mnie już — płakał wojewoda, a łzy ciurkiem spływały mu po policzkach.

— Mości wojewodo, nasz ojcze — krzyknęliśmy tłumem — powiedz tylko, kto cię skrzywdził?- Kto tu zawinił?! Na szablach rozniesiemy!

Wojewoda machnął ręką.

— Dziękuję wam, panowie bracia. Ale niestety nie ma tu do czego szabli przyłożyć.

— Powiedz ojcze, kto winien?!

— Doktór.

— Doktór?

— Jak to? Zali wam, mości wojewodo, nie pomógł?

— To właśnie, że pomógł. Jak ręką odjął. Dobry medicus, zna swoje. I w tym całe nieszczęście.

Nie rozumieliśmy już nic.

— Wystawcie sobie, panowie bracia — mówił wojewoda — czegoś podobnego nigdy w życiu nie miałem. Ledwie tu przybył ten pludrak, już czułem się lepiej. Powiedział, że to nie kolka, ale

Ze staroszlacheckiego raptularza przepisał:
WŁADYSŁAW SMÓLSKI
Ilustrowała:
MAJA BEREZOWSKA

wątroba, pomajstrował, pomędrkował i w trzy pacierze już byłem zdrów. Nie wiedziałem, jak mu dziękować. Kieskę dukatów zaraz mu wręczył marszałek, a ja powiadam. — „Doktorze, serce moje, proś o co chcesz! Wioskę z trzystu duszami, albo ten pierścień brylantowy, który zdobyłem pod Wiedniem w skarbcu Kara Mustafy. Uratowałeś mi życie — powiadam. Trzy dni będziemy pili twoje zdrowie". A on na to... Panie Święty, nie mogę dalej"...

I znów zapłakał.

— I co i co! Mówże, mości wojewodo! — krzyknęliśmy, pożerani ciekawością.

— A on na to: — „U ciebie chora wątropa... ty musieć dieta.

— Co?! A cóż to jest „dieta".

— Ty nic nie jeść. Bo ty umarla

— Jak to — pytam, uszom nie wierząc — nawet kołdunów

— Nie jeść kołdunów. Bo ty umarla.

— Ani zrazów?

— Nie jeść zrazów. Bo ty umarla.

— Ani kapłona?

— Nie jeść kapłona. Bo ty umarla.

— Ani nawet bigosu?

— Nie jeść bigosu. Bo ty umarla.

— A Święconego? Przecież za tydzień już Wielkanoc.

— Nie jeść Święconego. Nic, nic, nic jeść. Twoja wątropa wszystko szkodzić.

— Jak to... więc może... może i wina mi nie wolno?

— Nie wolno, nie wolno pić. Nic, nic, nic! Bo ty inaczej umarla.

— Jezusie Nazareński — zawołał bernardyn, chwytając się za głowę. — A czymżeż waszmość żył będziesz?!

— A, zostawił mi tu cały spis, tę dietę, czy jak tam... razem ze spisem lekarstw, tu... na stoliku.

Marszałek wziął kartkę do ręki i czytał, tłumacząc z niemieckiego, „...tarte kartofle, kura gotowana, bulion, mleko..."

— A bodajżeż cię! — wrzasnął jak oparzony. — Toż to despekt nie tylko dla wojewody ale dla zwykłego szlachcica!

— A ja wam powiem — rzekł nagle bernardyn, — że ten doktór to był diabeł we własnej osobie.

— Pleciesz ojcze, wszakżeż on biskupa leczył.

— Zważ tylko, mości wojewodo, do czego może służyć peruka, jak nie do ukrycia rogów.

— Na to też mi przyszło, panowie bracia — mówił wojewoda. Taki wstyd, taka hańba. Powiadam wam, lepiej się czułem, gdy mnie dziesięciu spahów obskoczyło. I znów zapłakał.

Płakaliśmy, aż się ściany trzęsły.

. . . .

Smutno minął Wielki Tydzień — ani jednej libacji. Po kątach tylko ukradkiem piliśmy gorzałkę. Wszyscy przejęci byliśmy nieszczęściem wojewody, kochaliśmy go bowiem bardzo. Mąż to był cnót wszelkich pełen, wspaniałej postawy i tuszy, hojny i brać szlachtę miłujący. Wszystkich nas znał z imienia i często spotkawszy którego na pokojach przystępował za pan - brat.

— A, — powiada — panie Janie ,jak się masz?

— Dziękuję, mości wojewodo, — odpowiadał wzruszony szlachcic. — Jakoś tam idzie z boską pomocą.



— To twoja zasługa, bernasiu. Tyś mnie natchnął!

IMĆ PANA WOJEWODY

— A zdrowie małżonki, dziatek? Wszakże to, jeśli się nie mylę, żona twoja Borkowska z domu...

— Tak, mości wojewodo — zdumiewa się szlachcic, gotów zań już oddać życie — z Borkowskich, co „Łodzią“ się pieczętują.

— Szlachetny to ród i w koniunkcji z waścinym „ślepowronem“ zacne wyda potomstwo. Kiedy więc najstarszy syn podrośnie, daj go, panie bracie, do mnie na dwór.

— Och, mości wojewodo, nasz ojcze! — płacze ze wzruszenia szlachcic, upadłszy mu do nóg. A ten już poszedł dalej.

Ale że jako starożytni Rzymianie największą boleść potrafili znieść, nie okazawszy tego po sobie, tak i nasz wojewoda pogodną na codzień okazywał nam twarz. Przepisanej przez doktora diety surowo przestrzegał i tylko ciągle w kaplicy zamkowej krzyżem leżał, albo coś sam na sam radził z mnichem. Tak nadeszły Święta.

Rezurekcja odbyła się wspaniale. Celebrował ojciec Serafin, wspaniałą postawą w szkarłatnym ornacie piękne okazując z siebie spectrum. Jak huknął „Te Deum“, szyby zadrżały i nie było słychać nawet wiwatówek z artylerii wojewody. On sam zaś przez całą noc krzyżem leżał na wspaniałym tureckim dywanie, zdobytym pod Wiedniem i modlił się żarliwie.

Zaraz po rezurekcji, przespawszy się ledwie godzinę i co nieco odświeżywszy, stawiliśmy się wszyscy w sali biesiadnej, by starym obyczajem złożyć wojewodzie świąteczne życzenia i podzielić się z nim jajkiem. Boże Święty! Jakiż widok uderzył nasze oczy!

Stoły w olbrzymiej sali biesiadnej zestawiono tak zręcznie, że zajmowały tylko jej połowę, na drugiej zaś połowie wznosiła się misternym wyrobiona kunsztem, olbrzymia forteca, otoczona murem i strojna czterema na rogach basztami, z których powiewały tureckie chorągwie. Dostępu do niej broniły szańce z chleba i bułek wysokości na pół chłopa, spoza których można było widzieć blanki, uczynione z ułożonych stosami kiełbas, a zdobne świńskimi głowami. Co się za tym murem musiało kryć? Cóż za rozkosze dla naszych żołądków przygotował za nim kucharz wojewody?! Na myśl tę ślina ciurkiem ciekła do gęby, zwłaszcza, że byliśmy jeszcze dotąd na czczo i żal nam się zrobiło owego postanowienia, że niejeden wolałby lecieć na piki janczarskie, aniżeli się tych wszystkich rozkoszy wyrzec. Aliści wnet tę haniebną małoduszność mężnym poskromiliśmy sercem, to sobie uświadomiwszy, jak zacnym był dla nas wojewoda, jeśli tak wspaniałe nam wygotował Święcone.

Wszedł wojewoda w czerwonym żupanie i złocistym kontuszu. Senatorska twarz jego przez ten tydzień postu wychudła, aż żal było patrzeć. Tym mocniej więc krzepiliśmy zamysł, w sercach powzięty.

A wojewoda wziął jajko pokrojone na talerzu i podzielił się nim najpierw z żoną i córkami tudzież z najbliższymi krewnymi, jacy z okazji Świąt, nie wiedząc o nieszczęściu, przybyli w gościnę. Po czym podszedł doń marszałek Kalinowski, a potem po kolei wedle urodzenia i urzędu każdy z nas, dzieląc się jajkiem i całując. Przepiękny to starodawny obyczaj, w którym co bardziej czułym łzy napływały do oczu, a cóż dopiero przy tak wielkim nieszczęściu wojewody i że z tej racji mieliśmy się wyrzec tak wspaniałej uczty. Kiedy zaś ceremonia się skończyła, wystąpił znów pan Placyd Kalinowski, spojrzał po nas, odchrząknął ze wzruszenia i rzekł w te słowa:

— Mości wojewodo, ojcze nasz i panie! Powiada Wergiliusz: — „Pro domine suo unus quisque comitum vitam reddere paratus est“. A jeśli poganie mieli taki animusz i determinację, to cóż dopiero my, chrześcijanie i szlachcice, którzyśmy własnymi rękoma pod Wiedniem ocalili chrześcijaństwo od sprośnego Turczyna. Postanowiliśmy tedy, mości wojewodo, i ślubowali uroczyście, aby przez całe trzy dni świąt, święconego nie wziąć do gęby, takim samym co i ty pożywieniem się kontentując. Tak nam, Panie Święty, dopomóż.

Któż by się nie wzruszył na taki dowód miłości! Toteż wojewoda, pozbywszy się senatorskiej powagi, aż kilka łez uronił, my zaś płakaliśmy jak bobry, w tej chwili nie żałując już tych wszystkich wspaniałości, którycheśmy się wyrzekli. Animusz w nas wstąpił wspaniały, prawdziwie heroiczna odwaga, tak że gotowi byliśmy w tej chwili na wszelkie poświęcenia. Nareszcie szmer powszechnego chlipania przerwał wspaniały głos wojewody:

— Mili panowie, bracia, dowód waszej miłości ku mnie wzruszył mnie niebywale. Powiada Liwiusz: „Unus pro omnibus, omnes pro uno“. Toteż tym bardziej utrzymuje mnie w świeżo podjętym zamiarze. W ostatnich tych dniach wiele przemyślałem; w czym tu obecny ojciec Serafin był mi pomocny. On to mnie natchnął. Mówi Skkleziasta: „Spiritus super carnem“. Żali to nieprawda? Cóż znaczy grzeszne ciało wobec wieczności? Znikomy jest czas trwania ludzkiego żywota i jego wszelkie sprawy, nad które zawsze powinniśmy przekładać sprawy ducha i wiecznego zbawienia. Nieprawdaż, ojcze Serafinie? Zali więc dla przedłużenia tego grzesznego życia może prawy katolik zaprzeć się pełnienia swych obowiązków, jak jedzenia Święconego?! Wspomnijcie na naszego królewicza Kazimierza Jagiellończyka, któremu powiedzieli lekarze, że jeśli nie zaprzestanie świętobliwych postów i praktyk, życiem to przypłaci. I zali ów świętobliwy królewicz wstrzymał się od postu? Zaprawdę nie, toteż przypłacił to zbywszy nędznego żywota. Tak i ja, panowie bracia, który gromiłem Turka pod Wiedniem... Czyż ma mnie powstrzymać obawa śmierci, którą mnie straszył ten doktorzyna?! Nie, mości panowie, nic nie zdoła mnie powstrzymać od dopełnienia moich obowiązków i zjedzenia tego święconego, choćbym to miał śmiercią przypłacić... Dixi.

Na chwilę osłupieliśmy, gdy zaś przyszliśmy do siebie, ze wszystkich ust wybuchnął tylko jeden okrzyk:

— Wiwat wojewoda!

Zaraz też pachołkowie zaczęli napełniać kielichy. A wojewoda wzniósł swój złoty, wysadzany kamieniami puchar i zawołał:

— Mości panowie, zdrowie, miłościwie nam panującego, króla Augusta!

Spełniliśmy toast w milczeniu, a wojewoda podniósł rękę, twarz jego przybrała wyraz taki jak wówczas pod Wiedniem i pokazując na wznoszącą się wielkanocną fortecę, zawołał:

— A teraz, panowie, do szturmu!

Nie trzeba nam było tego dwa razy powtarzać. Ruszyliśmy wszyscy, rozrzucając szańce z chleba tym łatwym sposobem, że każdy chwytał do ręki bochenek, a poniektóry, ogłodzony dwoma dniami ostrego postu, od razu się weń wgryzł. W mig też stanęliśmy pod murem fortecy i wspiąwszy się na ramionach towarzyszy, ściągaliśmy z blanków łokcie kiełbasy, która metrowymi pasmami wiła się pośród nas jak wężowisko. Ktoś nadłamawszy kawałek muru, uczynił odkrycie, że był on uczyniony z pasztetu i wnet wszyscy zaczęliśmy go rozbijać, a przekonawszy się, że w innych miejscach z pieczonego mięsiwa, tym łapczywiej konsumować, tak że wkrótce całe połacie muru wraz z wykuszami zniknęły w naszych wygłodzonych gardzielach, czyniąc w fortyfikacji znaczne wyłomy.

Hałas przy tym robiliśmy taki, jak przy prawdziwym szturmie, a złudzenie było tym większe, że dopiero teraz huknęły na majdanie wiwatówki i ozwał się przeraźliwy wrzask „Hałła!“ To lekka chorągiew tatarska wojewody, pełniąca w owym czasie służbę na majdanie, podniosła radosne larum.

A już kilku bardziej sytych waliło chlebami we wrota, które wkrótce ustąpiły, jak się bowiem okazało, były ze świątecznego placka. Przez nie i przez uczynione w murze wyłomy wtargnęliśmy do środka i... ujrzeliśmy stoły, uginające się pod stosami ryb, ciast i mięsiw, przerzucone tysiącami kraszanek, inne pełne dziczyzny, drobiu i przeróżnych słodyczy, a jeszcze inne, co nas największą przepełniło rozkoszą, zastawione setkami butelek, antałków i gąsiorów. Stanęliśmy oniemiali z zachwytu. Prawdziwie było to wszystko, jak w owych wschodnich bajkach, które słyszało się przy biesiadzie od pojmanych w niewolę tureckich panów.

Po chwili jednak zachwyt ustąpił miejsca wzrastającej żarłoczności i rzuciliśmy się na stoły. Stosy Święconego znikały w mgnieniu oka w wygłodzonych przez ostatnie dni postu, gardzielach. A już służba napełniła powtórnie kielichy i wnosiła olbrzymie faski z gorącym bigosem.

Nigdy nie obchodziliśmy żadnych świąt tak uroczyście. Już po paru godzinach wszyscy byliśmy pijani, a wojewoda, zalany łzami, całował się z bratem Serafinem, o ile im na to pozwalały brzuchy i powtarzał wzruszony:

— To twoja zasługa, bernasiu. Tyś mnie natchnął!

Tamten zaś powtarzał z palcem wzniesionym do góry:

— Od razu powiedziałem, mości wojewodo, że ten doktór to diabeł. Tak zawsze zły czyni. Najprzód niby dopomoże, by potem zarzucić sieć na duszę. Chciał cię, wojewodo, zgubić.

I całowali się, o ile im na to pozwalały brzuchy.

— — — — — — — —

Słusznie mówią, że los czuwa nad dobrymi ludźmi. Tak też i z wojewodą. Choć jadł i pił jak zwykle, nic mu się nie stało. Trochę miał na trzeci dzień niestrawności, ale po przeczyszczeniu strączkami senesu natychmiast ozdrowiał i mógł znowu jeść i pić dowoli. I po Świętach też żadnej diety nie przestrzegał, a dożyłby zapewne późnego wieku, gdyby go w lat kilka później na wieść, że jego adwersarz biskup płocki został wielkim koniuszym, nie zabiła apopleksja. O doktorze i jego niemieckich przepisach zapomnielibyśmy wkrótce, gdyby nie taki wypadek:

W pół roku po wyżej opisanych świętach Wielkiej Nocy siedzieliśmy przy uczcie u wojewody. Kielichy krążyły gęsto. Nagle do sali wpadł zdyszany pan Stróżycki, rotmistrz usarski, blady ze wzburzenia.

— Co się stało? — zawołaliśmy, wiedząc, że nie byle co zdoła go przerazić.

— Widziałem... doktora!

— Jak?! Gdzie?!

— Tylko co, na rozstajnych drogach. Wracałem od krewniaka, nieco podpiwszy, konno, sam jeden. Było koło północy. Ciemno, choć oko wykol; zdrzemnąłem się więc w siodle. Nagle przebudziłem się. Koń stanął i nie chce iść dalej. Ktoś trzyma za uzdę. Patrzę... doktór!

— Wszelki duch!... Co waść powiadasz?!

— Tak go widziałem jako waszmości. Tylko że zamiast peruki miał rogi na głowie, a ogień mu buchał z pyska. Pyta: „No, jakżeż tam wasz wojewoda? Czy przestrzega diety?“ Jak się nie przeżegnam, jak nie dam koniowi ostrogi! Pognał jak wiatr. Ścigły rumak. Już mnie ze trzy razy z nieszczęścia salwował.

Po prawdzie nas ta wiadomość nie zaskoczyła; wystrzegaliśmy się tylko odtąd i będąc gdzieś samotnie o północy w jakimś pustym miejscu, a szczególniej na rozstajnych drogach, gdzie jak wiadomo, złe przebywa najchętniej, przeżegnawszy się zmawialiśmy trzy Zdrowaśki, aby nas Panna Święta chroniła od doktora. Ale się, dzięki Bogu, więcej już nikomu nie pokazał. Prawda, że ojciec Serafin odprawił nazajutrz egzorcyzmy. I jeszcze często przy kielichu powtarzał wojewodzie:

— A powiedziałem od razu, mości wojewodo, że to był diabeł, diabeł we własnej osobie.



Marszałek wziął kartkę do ręki i czytał, tłumacząc z niemieckiego, „...tarte kartofle, kura gotowana, bulion, mleko“...

BAJECZKI

Janusz Odrowąż

JAJKO
czyli nowy Kolumb

W pewnym dalekim mieście, na chodniku ruchliwej ulicy, leżało jajko. Zwykłe, białe, gładziutkie jajko.

Zatrzymał się jeden przechodzeń potem drugi, piąty i dziesiąty, medytując nad tak dziwnym zjawiskiem.

— Skąd kruche jajko na twardym chodniku? — pytano. — Przecież gdyby wypadło jakiejś kobiecie z koszyka, toby się stłukło! — Trudno przypuszczać, by zostało specjalnie położone!

— W tym jest coś nadprzyrodzonego! Metafizyka, panowie!

— Czyżby nieczysta siła?

— Lub jakiś niecny podstęp?

— Może to bomba?

— A może ,po prostu, optyczne złudzenie?

Mijały chwile, tłum zbierał się coraz większy, lecz tajemnica wciąż była tajemnicą.

Wtem podszedł jakiś obcokrajowiec.

— Gdzie to jajko? — spytał, rozsuwając gapiów.

Podniósł, obejrzał uważnie, schował i ruszył z powrotem.

Tłum za nim.

Człowiek szedł, szedł, aż przyszedł do pewnego domu.

Wszedł, a tłum został, zaglądając przez okno.

Człowiek pewnym, śmiałym ruchem — rozbił jajko! Potem błysnął ogień.

— Rozwiązałeś tajemnicę? — pytali przez szybę ludzie.

— Wam to zostawiam — odrzekł. — Ja wolę jajecznicę.

Bo to był, drogie dzieci, Polak.

Jan Huszcza

GOŚĆ ZAGRANICZNY

Niemasz to jak być gościem zagranicznym w Polsce! Nie tylko docenią, ale i z reguły przecenią. Jeszcze jak przecenią!

Przekonał się o tym mój przyjaciel z okresu przedwojennych wojaży po zaprzyjaźnionym królestwie Morżowii, dziennikarz Guido Azaliż. Chłop poczciwy z kościami, jak to się mówi, nie żaden hochsztapler czy hucpiarz, a normalny, przeciętny dziennikarz. Na nasze warunki coś w rodzaju Turkucia z „Echa Wojewódzkiego" albo Kaniewicza z „Nowin Codziennych".

Wybrał się więc niedawno Azaliż do Polski.

W Gdyni schodzi po trapie na brzeg, patrzy, a tu co najmniej setka odświętnie ubranych pań i panów, trzy orkiestry, wszyscy z naręczami kwiatów i łzy w oczach; na dalszym planie powóz zaprzężony w cztery siwki.

Zachwyciłaby go prawdopodobnie malowniczość grupy, gdyby nie nagły napływ zaniepokojenia: grupa, wraz z siwkami, najwyraźniej zmierza ku niemu, na czoło wysuwają się dwaj starsi panowie w cylindrach i po morżowsku zaczynają przemawiać...

— Panowie, jakieś nieporozumienie — protestuje Guido Azaliż — nie jestem ani prezydentem USA, ani premierem któregokolwiek z państw, ani też głową koronowaną! — i zdejmuje kapelusz, żeby przekonać, iż nie ma na głowie korony.

— Jestem Azaliż z Morżowii...

— Zgadza się! — wyją ucieszeni prowodyrzy grupy. — Na pana właśnie oczekiwaliśmy! I kontynuują przemówienia, orkiestra rżnie hymny, siwki niecierpliwie parskają.

Na Azaliża sypią się kwiaty, pod stopy — obute w zamszowe półbuciki — ścielą się uśmiechy zachwytu i oddania. Oszołomiony Azaliż musi, wbrew woli, podporządkować się wszystkim ceremoniałom.

•

W ciągu dwutygodniowego pobytu podobne sytuacje spotykały go wszędzie...

Podróżował salonką.

Odżywiał się na bankietach.

Przyjmował dygnitarzy i udzielał im wywiadów.

A w Krakowie? W Krakowie zaproponowano mu na czas pobytu dwa pokoje na Wawelu.

Nie zechciał. Odmówił. Skromny, mimo wszystko, chłopak. Nie opuściło go, mimo wszystko, poczucie proporcji.

Ale też, po wyjeździe, przez ten nieostrożny postępek zostawił także niemile wspomnienia wśród gościnnych gospodarzy.

Po dziś dzień, na dźwięk nazwiska Guido Azaliż, twarze ich wykrzywia grymas niechęci:

— Barbarzyńca i cham, — tupią nogami — zlekceważył nasze sanktuarium narodowe!!!

ROK 2000



— To nasz syn ze szkoły.



— Ach, moja droga, to strasznie wyczerpujące te pięciogodzinne tygodnie pracy.



— Dziadek pamięta jeszcze epokę automobilu.



— Te podróże na księżyc zrobiły z niego marzyciela.

(„Carrefour" — Paryż).

Z POWODU WYJAZDU PANA ZAGŁOBY

(PATRZ STRONA 11—13)

dalszy ciąg jego przygód w numerze następnym

POPRAWKI NA CZASIE

Ponieważ wiele znanych bajek zestarzało się w rażący sposób, zachodzi konieczność zaktualizowania ich i poprawienia. Oto kilka projektów.

DZIEWCZYNKA Z ZAPAŁKAMI



Żadna szanująca się dziewczynka nie handluje już zapałkami. Zmienić na „Dziewczynka z gumą do żucia".

KRÓLEWNA ŚNIEŻKA



Tytuł nieodpowiedni. Należy zmienić na: „Obywatelka Śnieżka".

KOT W BUTACH



Czyli „Kłopoty z przydziałowym obuwiem".

TRZY ŚWINKI



Umieścić na wstępie wyjaśnienie, że akcja odbywa się wyłącznie w dni dozwolone dla obrotu mięsem.

KOPCIUSZEK



Rozmowy, prowadzone w tym warszawskim barze kawowym, w ogóle nie są odpowiednie dla dzieci.

CZERWONY KAPTUREK



Oczywiście może zostać.

ROLA POWSZECHNEJ SPÓŁDZIELNI SPOŻYWCÓW W ŁODZI

Chcąc mówić o roli tej potężnej spółdzielni w życiu Łodzi, trzeba przede wszystkim rzucić spojrzenie na oblicze społeczne miasta.

Łódź, miasto proletariatu w całym tego słowa znaczeniu. Taką była w zaraniu swego powstania, taką została pomimo historycznych przemian, pomimo różnych procesów społecznych. Wszystko jedno czy ten proletariat rekrutuje się spośród robotników, drobnej inteligencji, czy spośród ludzi stojących na wyższych szczeblach hierarchii umysłowej — masy mieszkańców opierają swój byt wyłącznie na środkach materialnych czerpanych z pracy zarobkowej, niezależnie czy to praca umysłowa, czy też fizyczna.

Łódź nie miała i nie ma charakteru mieszczańskiego, jak Kraków, Poznań, ba nawet Warszawa, który w swej strukturze odbija się na życiu gospodarczym, stwarza pewne złe i dobre — w sensie społecznym — możliwości egzystencji: Łódź to miasto pracy.

I może ten właśnie charakter Łodzi, to jej oblicze, typ człowieka, jego żywe odczucie krzywdy nie tylko wyrażającej się w warunkach pracy, lecz i w wyzyskiwaniu jego bezbronności ekonomicznej, przygotowywało grunt dla spółdzielczości, zwłaszcza spółdzielczości spożywców dostarczającej artykułów pierwszej potrzeby z pominięciem sznura pośredników handlarskich.

Dzisiaj spółdzielczość Łodzi to już nie coś, co istnieje na marginesie życia gospodarczego. Rola spółdzielczości jest poważna, wpływ jej potężnieje z dnia na dzień.

W czym się ten wpływ wyraża?

a) rozprowadzanie towarów kartkowych,
b) regulacja cen,
c) przeciwdziałanie spekulacji,
d) podniesienie jakości towarów, tak często fałszowanych w handlu prywatnym, drogą rzucania na rynek produktów własnych, wysokogatunkowych, tudzież nabywanych ze źródeł dających gwarancję, iż towar jest dobry.

Do zadań dalszych, mogących być sprawiedliwie ocenionymi dopiero w perspektywie czasu, po zestawieniu ich z życiem i jego potrzebami, należy wprowadzenie planowości w gospodarce spółdzielni.

Możemy sobie postawić pytanie. czy aparat działający, zasięg wpływów spółdzielni, dostosowany jest do potrzeb i chłonności tak dużego miasta jak Łódź?

Odpowiedź znajdziemy w przytoczonych cyfrach. Liczba członków wynosi 94.000, a więc w przybliżeniu co piąty mieszkaniec jest członkiem spółdzielni; można wnioskować, że przynajmniej połowa ludności miasta zaopatruje się w sklepach P.S.S., których liczba wynosi 372, rozmieszczonych przeważnie w punktach o większym skupieniu robotników.

Dodajemy do tego 13 piekarń (w projekcie częściowo realizowanym budowa piekarni o wypieku 50 ton dziennie); kilkanaście sklepów bławatnych rozprowadzających manufakturę pomiędzy ludność robotniczą, Dom Towarowy na ulicy Piotrkowskiej, zapoczątkowaną akcję otwierania sklepów masarskich, a nawet, co jest przedmiotem zabiegów, przejęcia lub stworzenia własnymi środkami fabryki przetworów mięsnych — otrzymamy w sumie wyniki, które zmuszają rynek prywatny wolno-handlowy do poważnego liczenia się z placówką spółdzielczą jaką jest P.S.S.

Dla całości obrazu musimy wymienić rozlewnię octu, palarnię kawy, kwaszarnię kapusty i ogórków, przejmowaną fabrykę cykorii w Zgierzu, mogącą całkowicie pokryć zapotrzebowanie spożywców łódzkich.

Już w najbliższych tygodniach otwarta zostanie olbrzymia hala na Zielonym Rynku mieszcząca 50 sklepów z różnorodnymi towarami.

Z krótko naszkicowanego obrazu można się zorientować jak ważną rolę w życiu gospodarczym Łodzi odgrywa Powszechna Spółdzielnia Spożywców. Duch czasu wysunął i zmusza do rozwiązania problemu sprawiedliwego podziału dóbr i sprawiedliwego rozprowadzenia dochodu społecznego jak również ciężarów wynikających z obowiązków obywatelskich. Realizatorem i wykonawcą dalekosiężnych planów rozwiązania wyżej przytoczonego problemu stała się na gruncie Łodzi Powszechna Spółdzielnia Spożywców.

Wacław Karczewski

OTWARCIE WARSZAWSKIEJ GIEŁDY ZBOŻOWEJ



P. Szumowski

W tych dniach odbyło się uroczyste otwarcie Warszawskiej Giełdy Zbożowej. W skład Prezydium Rady Giełdowej weszli członkowie dotychchzasowego Komitetu Organizacyjnego: Piotr Szumowski („Społem") — prezes, Witold Rościszewski (Fundusz Aprowizacyjny) i dyr. Czarnecki (Izba Przemysłowo - Handlowa) — wiceprezesi, Stanisław Zaniewski („Społem") — sekretarz. W ciągu trzech miesięcy odbędą się wybory zarządu. Komisarzem giełdy został p. Wojnicz - Sianorzęcki, dyrektorem giełdy — p. Józef Baczyński.

Giełdy zbożowe powołane zostały przez Ministerstwo Aprowizacji i Handlu w Warszawie, Poznaniu, Bydgoszczy, Katowicach, Krakowie, Wrocławiu, Gdyni i Łodzi.

Działalność giełd przyczyni się do stabilizacji cen ziemiopłodów w całym kraju, ceduły giełdowe staną się podstawą do rozrachunków w transakcjach między państwem a spółdzielczością, czy kupcami prywatnymi. Transakcje na giełdzie będą zwolnione w 50 proc. od podatku. Notowane na giełdzie transakcje pozwolą orientować się w całkowitym obrocie ziemiopłodami w Polsce.

Dlaczego giełdy?

W związku z otwarciem Warszawskiej Giełdy Zbożowej zamieszczamy poniżej artykuł prezesa Rady Giełdowej Piotra Szumowskiego.

Oczywiście słuszne pytanie. W naszym ustroju demokratycznym, w systemie planowania, w dążności do osiągnięcia maksimum sprawiedliwości społecznej — powołuje się do życia giełdy.

Określenie „giełda" powstało w systemie kapitalistycznym. Giełdy były jego narzędziem, ściślej mówiąc, były instrumentem w ręku jednostek kapitalistycznych. Odpowiednia spekulacja na giełdzie przyczyniła się do bogactwa trustów, koncernów, karteli itp. Jednym słowem — giełdy powodowały bogacenie się jednostek, kosztem szerokich warstw społecznych.

W związku z powyższym definicja prosta. Czy giełdy w ustroju demokratycznym, w ręku warstw społecznych, pod kontrolą państwa, dokładniej rządu ludowego, nie mogą być instrumentem dającym korzyści społeczne? Oczywiście że tak. Gdyby obrót ziemiopłodami w Polsce pozostawał wyłącznie w ręku spółdzielczości, istnienie giełdy zbożowej byłoby zbyteczne. Spółdzielczość sama w sobie i jako taka wprowadza sprawiedliwość społeczną przy wymianie dóbr. Ale w handlu ziemiopłodami biorą udział trzy sektory, a mianowicie: państwowy, spółdzielczy i prywatny. Dlatego też w koordynacji czynności tych trzech sektorów dużą rolę odegrają giełdy.

Struktura giełd obecnych również znacznie się różni od przedwojennych. O ile przed wojną dominującym elementem na giełdach był czynnik prywatny, handlowy, to obecnie spółdzielczość z wielką siecią swych placówek, zaważy poważnie na charakterze i sposobie pracy giełd. Spółdzielczość jako czynnik bezpośredni będzie stać na straży, ażeby giełdy właściwą rolę spełniały.

W interesie producentów jak i konsumentów jest, ażeby różnica między ceną otrzymaną przez producenta, a płaconą przez konsumenta była jak najniższa. Rola giełd w tym zagadnieniu jest znaczna. Poza tym giełdy przyczyniają się do wyrównania cen ziemiopłodów między poszczególnymi częściami kraju, wyrównywują różnicę między terminem podaży i popytu oraz umożliwiają dokonywania standaryzacji zbóż. Wreszcie giełdy, przez ustalone zwyczaje giełdowe, własne sądy rozjemcze, regulaminy itp. wpłyną na podniesienie etyki handlowej i solidności kupieckiej. Jednym słowem oddziałają wybitnie na podwyższenie poziomu handlu ziemiopłodami.

Na marginesie

Przed kilkunastu dniami gościliśmy reprezentantów rządu czechosłowackiego, oraz byliśmy świadkami prowadzonych w serdecznej atmosferze rozmów, zakończonych podpisaniem układu polsko-czechosłowackiego. Poza polityczną stroną tej wizyty warto zwrócić uwagę na jej znaczenie gospodarcze.

Wyjaśnienią atmosfery politycznej w stosunkach między obu naszymi krajami otwiera przed nami korzystne możliwości gospodarcze. Już przed wojną stosunki gospodarcze między Polską i Czechosłowacją były bardzo ożywione. Czechosłowacja stanowiła poważną pozycję naszego handlu zagranicznego zarówno w imporcie jak i eksporcie. I odwrotnie — Polska w handlu zagranicznym Czechosłowacji grała niepoślednią rolę.

Do Czechosłowacji wywoziliśmy: węgiel, len, żelazo, nawozy, cynk, jaja itd.; przywoziliśmy: wyroby włókiennicze, maszyny i aparaty oraz sprzęt elektrotechniczny, papier, środki transportowe itd. Wywóz nasz opierał się przeważnie na surowcach, przywóz na wyrobach gotowych.

Cechą charakterystyczną naszych stosunków handlowych z Czechosłowacją był przed wojną korzystny dla nas bilans. I tak na przykład w 1936 r. przywieźliśmy towarów za 35,6 milionów zł., wywieźliśmy za 49,2 milionów zł. W 1937 roku odpowiednie cyfry przywozu wynoszą 44 mil. zł., a wywozu 51,9 milionów złotych. W 1938 roku przywóz 40,7 milj. zł. — wywóz 43,2 milj. zł.

Nasze powojenne stosunki handlowe wykazują saldo na naszą niekorzyść. Nie nabrały one jeszcze dotychczas właściwego rozmachu, przy czym jedną z przyczyn tego stanu rzeczy były niewątpliwie momenty natury politycznej. Zawarcie układu polsko - czechosłowackiego zmienia sytuację i otwiera nam nowe horyzonty.

Jak wyglądają obecnie te perspektywy? Polska i Czechosłowacja posiadają wprawdzie szereg gałęzi gospodarczych rozwiniętych jednakowo dobrze w obu krajach, jak np. węgiel, cukier, ziemniaki itd., jednak jest szereg zasadniczych różnic w naszej strukturze gospodarczej, które mogą się doskonale uzupełniać. Czechosłowacja potrzebuje i będzie potrzebować nie tylko naszego węgla (gdyż własna jej produkcja jest niewystarczająca dla potrzeb przemysłowych), ale również sody, nawozów sztucznych, cynku. Czechosłowacja nie będzie samowystarczalna, jeśli chodzi o wyżywienie i chętnie zakupi u swego najbliższego sąsiada i sojusznika tłuszcze, owoce, jaja, sól itd. Czechosłowacja importowała przed wojną znaczne ilości ryb, których mogą jej obecnie dostarczyć nasze jeziora mazurskie i nasze morze.

Odwrotnie z Czechosłowacji możemy uzyskać samochody i samoloty, których fabryki u nas jeszcze nie prędko powstaną, traktory i maszyny rolnicze, wyroby przemysłu hutniczego i elektrotechnicznego.

Rzuca nam się wprawdzie w oczy, że znów będzie eksportować surowce za wyroby gotowe, ale to wynikać będzie z różnic struktury gospodarki naszych krajów. Wprawdzie stajemy się coraz bardziej krajem przemysłowym, ale jeszcze długo będziemy musieli importować samochody, maszyny i różne artykuły przemysłowe. Uszlachetnić szybko nasz eksport może nastawienie się na masową produkcję konserw owocowych, rybnych, a w przyszłości i mięsnych.

Niewątpliwie nasz bilans handlowy może się z Czechosłowacją kształtować podobnie jak przed wojną na naszą korzyść, a w miarę rozwoju naszego przemysłu wywóz nasz uszlachetniać.

Wreszcie jeszcze jedno zagadnienie: to wykorzystanie przez Czechosłowację drogi wodnej Odry i portu szczecińskiego. Jak wiadomo, Czechosłowacja, nie mając dostępu do morza, a prowadząc rozległe stosunki handlowe, większość eksportu swego kierowała Łabą przez Hamburg. Stworzenie Czechosłowacji możliwości wykorzystania Odry i Szczecina może mieć dla naszego gospodarstwa kolosalne znaczenie, które wzrośnie po zrealizowaniu koncepcji kanału Dunaj — Odra.

Wiele mamy interesów wspólnych, z których korzyści odniesie i Polska i Czechosłowacja, oczekujemy ściślej współpracy gospodarczej obu naszych krajów.

M. MARSKI





SKŁADNICA FABRYCZNA
na Łódź i województwo: ZGIERZ, ul. Marii Curie-Skłodowskiej Nr 7

Stefania Grodzieńska

ODCZYTY W ZWIĄZKU STANOWCZYCH MĘŻATEK

Co zrobić z mężem w czasie świąt

Dzisiejszy wykład, drogie panie, poświęcamy temu ważkiemu zagadnieniu. Cieszę się, że członkinie naszego Związku doceniły wagę problemu i tłumnie przybyły na mój odczyt. My, zrzeszone w Zwązku Stanowczych Mężatek, zdajemy sobie sprawę, że najczęściej stosowane metody postępowania z mężami w czasie świąt są niewłaściwe. Metoda pierwsza polega na wyrzucaniu męża z domu po zaopatrzeniu go w słuszną zresztą uwagę, że tylko przeszkadza. Druga natomiast — na zatrzymanie go gwałtem w domu w celu robienia mu, równie zresztą słusznych, gorzkich wymówek w tym samym sensie. Jak już zaznaczyłam, obie metody są oparte na słusznych założeniach, ale nie prowadzą do niczego. Skoro już uznaliśmy, że mąż w domu jest w okresie świątecznym wartością ujemną, nic nie pomoże stwierdzanie tego faktu w jego obecności, choćby nawet najczęstsze. Zastanówmy się raczej, drogie panie, jak go wykorzystać, jak wydobyć na światło dzienne jego ukryte możliwości, słowem jak zmusić pasożyta do służenia ogólnej sprawie. Przecież nawet taki szkodnik jak kret daje ładne futro. Trzeba tylko wiedzieć, czego od kogo wymagać należy.



Nie dawać mu zajęć, wymagających inteligencji

A więc mąż znakomicie nadaje się do wykorzystania przy generalnych porządkach. Można go zmusić, żeby wyniósł pościel na balkon i po wyczekaniu, aż pościel pokryje się dostateczną ilością sadzy i kurzu, może ją wnieść z powrotem. W międzyczasie niech przestawia meble z miejsca na miejsce, względnie można go posyłać co chwila do sklepu po pastę do podłóg, bielidło itp. Koniecznie trzeba przy tym zapisywać mu na karteczce żądany przedmiot, bo w 99 wypadkach na sto pokręci i przyniesie rzeczy, o których się filozofom nie śniło. Nie trzeba się zrażać tym, że mąż w domu w czasie porządków pęta się stale pod nogami. Najlepiej przestawiać go z miejsca na miejsce i zakazać zmiany pozycji.

Jednym z kulminacyjnych punktów porządków przedświątecznych jest wyrzucenie z biurka mężowskiego wszystkich potrzebnych papierów. Należy się przygotować na gorące protesty i uzbroić się w anielską cierpliwość. Nic nie odpowiadać i w ogóle nie reagować, tylko robić swoje. Wszelka dyskusja na ten temat jest jałowa, bo mąż będzie godzinami udowadniał, że właśnie na tym świstku jest ważny adres, a na tamtym telefony i nigdy się z nim nie dojdzie do ładu. Wyrzucić papiery i spokój.

Po ukończeniu porządków trzeba mężowi wyjaśnić, drogie panie, że: na tapczanie nie wolno się kłaść, bo narzuta wyprana, na krześle nie wolno siadać, bo siedzenie wytrzepane, na stole nie wolno jeść, bo obrus czysty, drzwi nie wolno zamykać, bo świeżo wymyte, palić nie wolno, bo wietrzone, a poza tym wszystko wolno, tylko ostrożnie. Nie radziłabym nawet dyskutować na te tematy, bo mąż ma zawsze tendencje do spierania się, a na to szkoda czasu w tym gorącym okresie.

Podczas ostatecznych przygotowań przedświątecznych również zupełnie dobrze możemy zużytkować męża. Użyć go mianowicie można do pomocy w kuchni. Należy jednak pamiętać o tym, drogie panie, że mężczyzna ma głowę stale zaprzątniętą głupstwami i interesami i nie dawać mu zajęć kuchennych, wymagających inteligencji i poczucia odpowiedzialności. Męża używa się do zajęć kuchennych, przy których można się gapić, a zwłaszcza do takich, gdzie nic nie można zepsuć. Klasycznym przykładem takiego zajęcia jest tarcie chrzanu. Otwiera się okno, męża sadza się przy oknie, daje mu się do prawej ręki chrzan a do lewej tarkę i każe mu się pocierać jedno o drugie. Nawet najgłupszy mąż po jakimś czasie utrze chrzan. Należy jednak przestrzegać zasady, aby to zajęcie dać mu na ostatku, bo zapłakany i pokaleczony mąż jest już później w kuchni nie do użytku, a poza tym nerwy jego po utarciu większej ilości chrzanu są do chrzanu i istnieje duże prawdopodobieństwo buntu i opuszczenia domu na korzyść knajpy. Z tym trzeba się liczyć i dopilnować, żeby przed tym zrobił co do niego należy. A więc w pierwszym rzędzie ma utrzeć kogelmogel. Przy tym zajęciu nie trzeba zostawiać go ani na chwilę samego, bo wszystko wykosztuje, albo rozda dzieciom. Może rozwałkować ciasto, zbić mięso, pootwierać konserwy, jednym słowem zrobić to wszystko, co wymaga siły fizycznej przy wyłączeniu wysiłku intelektualnego.



... Zapłakany i pokaleczony mąż jest już później w kuchni nie do użytku

Po tych wszystkich przygotowaniach można przestać zajmować się mężem aż do chwili, kiedy mają przyjść goście. Wówczas męża, ogolonego i przyzwoicie ubranego, stawia się w korytarzu i używa go się do wygłaszania takich zdań, jak: „ach, jakże się cieszę", lub „cóż za mili goście", względnie „no nareszcie, już nie mogliśmy się doczekać". Podczas przyjęcia mąż służy do nalewania wódki i do zabawiania najbrzydszej pani przy stole. Kiedy wszyscy już są pod gazem można mu zostawić wolną rękę z tym przeświadczeniem, że nie będzie się bałaganił, bo jest tak zmęczony, że ucieknie do sypialni i rąbnie się spać.

Oto podałam wam, drogie panie, najbardziej racjonalny sposób wykorzystania męża w czasie świąt.

Przy tym nie należy się obawiać, że po świętach mąż poda o rozwód. Zapewniam was, drogie panie — będzie tak szczęśliwy, że święta się skończyły, że zapomni o wszystkim i przy następnych znów nada się do użytku.

Proponuję przyjąć przez aklamację.

ANEGDOTA HISTORYCZNA

INDYKI I ZAJĄCZKI

Znakomity kompozytor Giacomo Rossini (1792 — 1869) otrzymał raz od swego znajomego zapewnienie, że w najbliższych dniach będzie przez niego zaproszony na indyka z truflami. Mijały tygodnie, a zaproszenie nie nadchodziło. Zetknąwszy się któregoś dnia przypadkiem na ulicy z Rossinim, znajomy zaczął się usprawiedliwiać:

— Co dzień myślę o tym, żeby mistrza zaprosić na indyka, ale podobno w tym roku trufle są wyjątkowo kiepskie.



— Niech pan nie wierzy — odparł Rossini — to indyki rozpuszczają takie plotki.

Anegdota powyższa przypomina wypadek z życia Przybyszewskiego. Po pijanemu zaprosił on Jana Lorentowicza, aby na drugi dzień przyszedł do niego „na zajączka z buraczkami". Nie tylko nie przygotował zajączka, ale po pijaństwie nie miał grosza przy duszy. Gdy się Lorentowicz zjawił, Przybyszewski rzekł do niego tajemniczo:

— Zajączka dziś nie ma, ale pożycz pan guldena, to poślę po wódkę.

Czytajcie
i prenumerujcie
czasopisma spółdzielcze

Redakcje i Administracje: Warszawa, Kopernika 30, tel. 87-537 (tel. administracji — wewnętrzny 62, pok. 17).

„SPOŁEM"
Dwutygodnik — pismo ruchu spółdzielczego, tel. wewn. red. 57, pok. 121, konto PKO I-4610 pren. roczna 440 zł

„SPÓLNOTA"
Tygodnik spółdzielczy — tel. wewnętrzny red. 21, pok. 125 konto PKO I-4615, BGS 733, pren roczna 160 zł.

„PRZEWODNIK WYCHOWANIA SPÓŁDZIELCZEGO W SZKOLE"
Miesięcznik — tel. wewn. red 57 pok. 11 konto PKO I - 4640 pren. roczna 100 zł.

„CZASOPISMO OGRODNICZE"
Miesięcznik — organ spółdzielczości ogrodniczej — tel. wewn. nacz. red. 37, pok. 58, konto PKO I-4630. pren. roczna 320 zł.

„PORADNIK MLECZARSKI I JAJCZARSKI"
Miesięcznik przeznaczony dla spółdzielni przetwórczych, tel. wewn. nacz. red. 38, pok. 71, konto PKO I-4620, pren. roczna 320 zł.

„BIULETYN KSIĘGARSTWA SPÓŁDZIELCZEGO"
Miesięcznik — tel. wewn. nacz. red. 26, pok. 164, konto PKO I-4635, pren. roczna 250 zł.

„PORADNIK SPÓŁDZIELNI HANDLOWYCH"
Dwutygodnik instrukcyjny dla spółdzielni obrotu towarowego tel. sekr. red. 57, pok. 120, konto PKO I-4675, pren. roczna 380 zł.

„SPÓŁDZIELCZY PRZEGLĄD BANKOWY"
Czasopismo przeznaczone dla spółdzielczych instytucji finansowych. Wydawnictwo Banku Gosp. Spółdz. Red. i adm., — Łódź, Al. Kościuszki 47, tel. 197-93, konto BGS - 250.

„SAMORZĄD SPÓŁDZIELCZY"
Biuletyn informacyjny. — Wydawnictwo Zw. Rew. Spółdz. i Zw. Gosp. Spółdz. „Społem", Red. i Adm. Warszawa, Grażyny 13 — biuro Samorządu Spółdzielczego.

„PRACOWNIK SPÓŁDZIELCZY"
Miesięcznik Zw. Zaw. Prac. Spółdz. Red. i Adm. Warszawa, Krasińskiego 16, tel. 886-87, konto: Bank „Społem" nr 207.

POWSZECHNA SPÓŁDZIELNIA SPOŻYWCÓW W ŁODZI

Jedna z najstarszych i największa Spółdzielnia Spożywców w Polsce

93.000 członków — sklepów 372

Własne wytwórnie artykułów pierwszej potrzeby: piekarnie, ciastkarnia, palarnia kawy, rozlewnia octu, kwaszarnia kapusty, fabryka cykorii, szwalnia

Potężny majątek własny w nieruchomościach i ruchomościach

Obrót za rok 1946 wynosił 3 miliardy złotych

Powszechna Spółdzielnia Spożywców jako placówka mas pracujących daje najlepszą gwarancję solidnego, prędkiego zaspokojenia potrzeb spożywców

Siedziba Zarządu w Łodzi ul. Piotrkowska 31

Magazyny — ul. Ogrodowa 74

WIELKANOC

Nie wiem, jaki jest obecnie stosunek czynników opiniodawczych do Tadeusza Zielińskiego († 1942), ale bezpośrednio po zakończeniu wojny był on negatywny: Zieliński został potępiony za „współpracę" z Niemcami. Współpraca wyrażała się w tym, że w momencie wizyty dyplomatycznej, złożonej przez Goebbelsa przed wojną rządowi polskiemu w Warszawie, Zieliński przyjął hitlerowskiego ministra w Pałacu Staszica i wygłosił wobec niego — dla licznego zresztą zgromadzenia naukowców i literatów — przemówienie o konieczności pracy i związków kulturalnych między narodami. Być może, postępując konsekwentnie, należałoby potępić i tych wszystkich, którzy w owej „uroczystej akademii" brali udział, jeśli się ich można tylko doliczyć i jeśli zdecydowanie nie pozmieniali skóry. Być może również, że Zieliński, gdyby żył, wystąpiłby dziś o swoją „rehabilitację" na podobieństwo jakiegoś volksdeutscha.

Myślę, że potępienie Zielińskiego oparte było na nieporozumieniu. Niesposób nawet zestawiać olbrzymiej postaci uczonego — nie europejskiej już lecz wszechświatowej sławy — z jakimś nędznym i niecnym kollaboracjonistą. To są inne wymiary i inne regiony myśli. Trzeba przypuszczać, że Zieliński, gdy nawet wygłaszał swe przemówienie, daleki był od jakichś intencji politycznych. Uczeni, przede wszystkim uczeni humaniści, jak Zieliński, miewają inne — zapewne czysto altruistyczne i ludzkie — pobudki podobnych wystąpień. Mogą się mylić — to inna kwestia. Ale gdy ktoś patrzył na całą kulturę europejską, począwszy od prahelleńskiej, jak na swoją osobistą własność i jak na wspólnotę duchową całej ludzkości — pisał po grecku jak Platon, a po łacinie jak Cycero; gdy ktoś — jak on — wykładał i tworzył, poza swoim językiem ojczystym, w kilku językach europejskich: rosyjskim, niemieckim, francuskim, włoskim i angielskim; gdy ktoś dźwigał na pochylonych od trudu ramionach dziewiąty krzyżyk i miał głowę podobną do starego Zeusa — ten, mniemać należy, w innych kategoriach, perspektywach i proporcjach ujmuje niektóre sprawy ludzkie. Tym swoim ludzko-kosmopolitycznym (kosmopolitycznym w greckim znaczeniu słowa) poglądom na sprawy ludzkie dał Zieliński wyraz w monumentalnej, sześciotomowej historii religii, której nie dokończył, doprowadzając ją tylko — poprzez religię grecką, hellenistyczną, judejską i rzymską — do początków chrześcijaństwa.

Wielkanoc zbudziła we mnie przypomnienie pewnej rozprawy Zielińskiego *). Na Wielkanoc, podobnie jak na każde święta doroczne, ukazuje się zawsze w pismach mnóstwo okolicznych artykułów. Są to właściwie, mówiąc językiem gazeciarskim, raz na zawsze ustalone „michałki" czyli szablony, które co roku wyciąga się z pyłu redakcyjnego i odświeża. Wielkanoc — a więc staropolskie święcone z ryciną Andriollego; a więc święcone u księcia Radziwiłła Sierotki, gdzie cztery pieczone dziki wyobrażały pory roku, dwanaście jeleni — miesiące, pięćdziesiąt dwa indyki (czy może prosiaki) — tygodnie, a 365 bab i 365 butelek — dnie. Wielkanoc — a więc pisanki i kraszanki, śmigus-dyngus, gaik, rękawka... Oto doroczna tematyka artykuów wielkanocnych, zroszonych zlekka łezką konwencjonalną tradycji.

Nie taki był artykuł wielkanocny Zielińskiego, ogłoszony jakoś przed samą wojną w „Gazecie Polskiej". Gdybym go miał pod ręką... Niestety. A pamięć jest bardzo nietrwała. Zieliński, który był mistrzem prostego i jasnego wykładu, wykazywał w swym artykule — językiem potocznym, przystępnym i dlatego właśnie wymownym — ile różnych, pradawnych i zamierzchłych wierzeń ludzkości stopiło się i zmieszało w chrześcijańskim święcie Wielkanocy, tworząc z niej tym sposobem doskonałą syntezę tęsknot i pragnień religijnych wszechczasów. Wielkanoc bowiem nasza ma swe źródła nie tylko w żydowskim święcie Paschy, ustanowionym na pamiątkę wyjścia Izraelitów z Egiptu; być może nawet z tym świętem wiązała się raczej formalnie, zbiegając się z nim w porze wiosennej, w miesiącu Nizan, skutkiem czego też Kościół przestawił potem jej datę, aby nie wypadała jednocześnie z żydowską. Wielkanoc nasza ma swoje korzenie i w podaniach religijnych Persji, a przede wszystkim — starożytnej Grecji, której kulty religijne sięgają z kolei najstarszych tradycyj Wschodu. Na świętowaniu Wielkiejnocy zaważył i orfizm, i kult Dionizosa, który opłakiwany przez lud, schodził do podziemi, aby potem zmartwychwstać i zwiastować wiosnę, odradzającą naturę. A tym opłakiwaniom i radosnym powitaniom towarzyszyły obrzędy, zwane misteriami, z których powstawały ewolucyjnie chrześcijańskie i średniowieczne misteria pasyjne. Kult Adonisa, które to słowo oznacza „Pan", podobnie jak Chrystus Pan, stał się także jedną z tych żyznych warstw tradycyjno-dziejowych, na jakich wyrastała Wielkanoc. Istota obrządków ku czci Adonisa, wyznawanego głównie w Syrii i Anatolii, zasadzała się na wierze, że młody bóg, ulegając przemocy okrutnego przeznaczenia, umiera w kwiecie wieku, opłakiwany przez kobiety, po krótkim jednak czasie zmartwychwstaje, a wówczas gorzkie żale zamieniają się w radość najżywszą. Ten zaś kult był niemal identyczny z kultem Attysa we Frygii, którego zmartwychwstanie obchodzono z końcem marca (powitanie wiosny) śpiewami, weselem, misteriami i widowiskami, gdy przez okres żałoby, poprzedzający zmartwychwstanie, poszczono ściśle. Adonis zaś i Attys mają znowu powinowactwa religijne z Ozyrysem, bogiem słońca i odradzania się natury...

Z tych wszystkich wierzeń i wielu innych Zieliński umiał skomponować piękny poemat naukowy, który nietylko w najmniejszym stopniu nie podważał potęgi święta Wielkiejnocy, lecz przeciwnie, zwiększał jej mistyczną tajemniczość, odsuwając jej początki kędyś w zaranie kulturalne naszego świata europejskiego, gdy myśl religijna poczęła podlegać idealizacji, zespalając ludzi i ziemię, naturę i niebo z jego zjawiskami astralnymi — w jeden harmonijny system — nierozwiązalną zagadkę bytu. Któż bowiem, jak nie Zieliński, napisał we wstępie do swej historii religij, że uczony musi mieć stosunek religijny do świata.

JERZY WYSZOMIRSKI

---

*) Trzeba zwrócić uwagę Czytelników, iż prof. Zieliński pod kryptonimem Cielińskiego jest jednym z bohaterów drukowanego przez nas opowiadania Iwaszkiewicza p. t. „Kongres we Florencji".

A tu jest WARSZAWA

Słowa: Artur Bartels (1818-1885)

Muzyka: Tadeusz Sygietyński
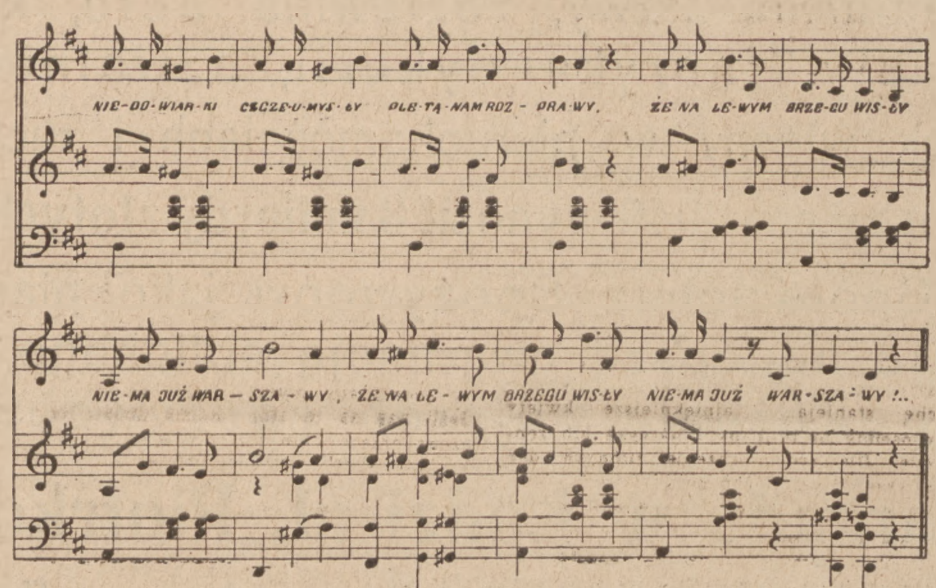
Tekst tej piosenki „wyszperał" Julian Tuwim i (z muzyką Sygietyńskiego) umieścił — w skrócie — jako wkładkę w wesołej staro-warszawskiej przygodzie pt. „Żołnierz Królowej Madagaskaru", granej obecnie z olbrzymim powodzeniem w Teatrze Muzycznym w Warszawie.

Piosenka zdobyła sobie szturmem serca warszawiaków, do czego w znacznej mierze przyczyniła się świetnym wykonaniem Mira Zimińska.

Powodem, który dał asumpt Bartelsowi do napisania tego wiersza, były uporczywe plotki, kursujące w ówczesnej Galicji i w Poznańskim, że po powstaniu styczniowym, 63-go roku Warszawa uległa całkowitemu jakoby zniszczeniu. „...Mówili: nie ma Warszawy — A tu jest Warszawa!" — dziwnie to wszystko pasuje do obecnych ruin naszej stolicy.

Prezentujemy tę piosenkę w oprawie graficznej Ignacego Witza.

W tempie mazurka



Że zdziczała jak nie swoja,
Wszędy chwast i trawy,
Że „nec locus ubi Troja",
Z tej naszej Warszawy. (bis).

Że o los naszego miasta
Pełni są obawy,
Że pleśnią i mchem porasta
Każden gmach Warszawy. (bis).

Ale byłem sam, widziałem,
Choć tęskniejsza, łzawa,
Choć nie taka, jak ją znałem,
Ale jest Warszawa. (bis).

W teatrze stary Żółkowski
Wywołuje brawa,
U nóg ślicznej Modrzejowskiej
Całuska Warszawa. (bis).

Jest dobra, jest niespodlona,
Pracowita, żwawa,
Ucząca się i uczona,
Słowem jest Warszawa. (bis).

Choć pozornie nietroskliwa,
Ale w gruncie prawa,
I na wielkość się zdobywa
Tak często Warszawa. (bis).

Sam sobie nie zdajesz sprawy
I znika obawa,
Mówili: nie ma Warszawy
— A tu jest Warszawa. (bis).

STÓŁ WIELKANOCNY

Dawne zwyczaje wymagały poważnego przygotowania się do Świąt Wielkanocnych. Przede wszystkim obowiązywał ścisły post. Szczególnie przestrzegano go w Wielki Piątek — w tym dniu nikt nic nie jadł, ba — nawet namiętni palacze starali się palić powściągliwie, oddawano się rozmyślaniom i tłumnie odwiedzano Groby. W Wielką Sobotę nastrój żałobny zamieniał się już w radosny i świąteczny — wszyscy oczekiwali z niecierpliwością Wielkiej Niedzieli.

W wielu domach przygotowania świąteczne trwały nieraz dłużej niż tydzień. Na Wielkanoc gospodyni domu musiała wykazać się swoimi talentami gospodarskimi — smakołyki wielkanocne musiały być bez zarzutu, w przeciwnym razie groziła kompromitacja w oczach sąsiadów i znajomych, tłumnie składających sobie nawzajem wizyty. Z dawnych uroczystych, tradycyjnych obchodów świątecznych do naszych czasów przetrwał zwyczaj urządzania stołu wielkanocnego ze Święconym, w rozmiarach skromniejszych, dostosowanych do nowoczesnych form życia i obecnie, po wojnie — do warunków materialnych.

A więc — urządzamy skromny stół wielkanocny.

Jak dawniej, tak i dziś „na posterunku" tkwi cukrowy baranek. Obok honorowe miejsce zajmują: ładnie upieczona i na biało lukrowana babka, mazurki różnych kształtów i gatunków oraz ładnie malowane „pisanki".

Kunszt wypiekania ciasta domowego w Polsce stał zawsze na wysokim poziomie, wypróbowane przepisy na babki, mazurki i torty przechodziły z pokolenia na pokolenie. Ileż było czasami kłopotu i zmartwienia z powodu zagubienia jakiegoś nadzwyczajnego przepisu babci, czy cioci Femci — ja sama przyłapałam się na tym, iż przebiegając myślami w czasie powstania poniesione poważne straty w domu, zastanawiałam się nad tym, czy ocalały moje szpargały z przepisami!

Zdobienie pisanek należy do najpiękniejszych i najpopularniejszych zwyczajów słowiańskich. Dziś spotykamy pisanki wyłącznie podczas Świąt Wielkanocnych, związanych z tradycyjnym dzieleniem się jajkiem przy składaniu życzeń. Natomiast w dawnych czasach wśród wielu ludów rozpowszechnione było wierzenie, iż jajko jest utajonym źródłem sił twórczych i zdolnych niszczyć zło. Zakopane w ziemi zabezpieczało zbiory przed stratami, stanowiło talizman szczęścia dla rozwoju gospodarstwa. Zawieszane w chacie u sufitu miało przeciwdziałać złym „urokom", darowane nowożeńcom wraz z różdżką weselną zapewnić miało liczne potomstwo; wkładane do trumny zmarłego — odpędzało od niego złe duchy i zapewniało spokój po śmierci. Szerokie zastosowanie jajka w obrzędach ludowych, sięgających czasów pogańskich, sprawiło, iż znalazło się ono także wśród chrześcijańskich zwyczajów wielkanocnych. Jest ono wyobrażeniem budzącego się na wiosnę nowego życia, symbolem odrodzenia.

Pisanki znane są wszystkim ludom słowiańskim, a sposób ich zdobienia nie wykazuje zasadniczo wielkich różnic. Różnice polegają zazwyczaj na dobieraniu barw, charakterystycznych dla niektórych okolic i miejscowości. Do niedawna farby do malowania preparowane były sposobem domowym, a wzór rysowany roztopionym woskiem na czystym jajku. Po wyjęciu jajka z farby i osuszeniu, zeskrobuje się wosk i na zabarwionej skorupce uwidoczniają się białe desenie. Barwniki były przygotowywane z roślin: żółty z łupin cebuli, fioletowy z listków malwy, pomarańczowy z krokusa itd. Obecnie zazwyczaj posługujemy się barwnikami fabrycznymi i kalkomanią. W niektórych szkołach przemysłu artystycznego i sztuki ludowej uczą malowania pisanek — dlatego współczesne pisanki są być może staranniej i piękniej opracowane, lecz nie posiadają swej dawnej oryginalności.

Prócz ciast i pisanek stawiamy na stole różne sałatki, sosy, marynaty, napoje i półmiski z mięsem.

Mięsa najlepiej pokrajać na plastry i ubrać półmisek dookoła włoszczyzną i zielenią. Szynkę i polędwice przybrać



skrobanym chrzanem, cielęcinę — sałatą i galaretką z sosu, inne mięsa — groszkiem z puszek i ćwikłą. Ozdobą stołu są różne kolorowe sałatki. Prócz tego rozrzucamy po stole barwinek, a do wazonu wkładamy kilka baziek i — ewentualnie parę kwiatów — o ile trochę staniej... Najpiękniejsze kwiaty wiosenne to tulipany i narcyze lub żonkile. Dla zrównoważenia zimnych dań wskazane jest podać gorący rosół z kruchymi pasztecikami lub paluszkami.

Kawa, herbata, likier lub wino, uzupełniają wielkanocne przyjęcie, którego nieodzownym składnikiem musi jeszcze być oczywiście — miły uśmiech gospodyni i dobry humor zarówno gospodarzy, jak i ich gości.

A teraz po tym wstępie pomówimy o szczegółach. Oto kilka przepisów z serii „domowych", „rodzinnych" i rzekomo — niezawodnych. W razie nieudania się, winę oczywiście ponosi wykonawczyni, która zapomniała, co należy zrobić „przed" a co „po" lub pomyliła proporcje. Spróbujmy jednak.

PRZEPIS NA CIASTO — BABKĘ LUB PLACEK

Szklankę mąki sparzyć szklanką wrzącego mleka. Rozetrzeć, żeby nie było grudek. W pół szklance letniego mleka rozrobić 6 dkg. drożdży i wlać do wystudzonego rozczynu. Wyrobić ciasto i odstawić, żeby podrosło. W międzyczasie ukręcić 6 żółtek (więcej nigdy nie zaszkodzi) z 1 i pół szklanki cukru, ubić na pianę 3 białka, dodać do żółtek i gdy ciasto podrośnie — dodać to wszystko do rozczynu, wlać pół szklanki topionego, ciepłego masła, szczyptę soli i zapach waniliowy. Dodać trochę mleka — tyle, ile trzeba, by opłukać garnek po żółtkach. Wyrabiać ciasto, dodając mąki tyle, żeby ciasto nie było za gęste, ani za rzadkie, aby nie odpadało od ręki. Wyrabiać godzinę i postawić, żeby rosło. Po wyrośnięciu, do podwójnej ilości — nakładać w formy, wysmarowane masłem, pozwolić, by w formie wyrosło, potem piec godzinę w dość gorącym piecu. Ciasto rośnie trzy razy: w rozczynie, w misce i w formach. Mąki trzeba zużyć około jednego do dwu kg.

CIASTO KRUCHE NA MAZURKI

15 dkg. masła 10 dkg. smalcu, 2 całe jajka i mąki tyle, żeby ciasto nie było suche i twarde. Zagnieść wszystko i odstawić na godzinę w zimne miejsce. Potem, rozwałkowane w dowolnym rozmiarach piec na kolor złoty. Po ostygnięciu polukrować i ozdobić konfiturą lub smażonymi w cukrze owocami.

Można zrobić polewę czekoladową: ugotować gęsty syrop z 8 dkg. cukru i 3—4 łyżek wody. 8 dkg. kakao zmieszać z dolewanym po trochu syropem. W końcu, dodać łyżeczkę masła i szybko polać, aby polewa pozostała gładka. Jeśli nas na to stać, można dodać tłuczone orzechy lub migdały, albo drobno krajaną skórkę pomarańczową.

A OTO PRZEPIS NA PLACEK Z SEREM

1 kg świeżego sera wałkować tak długo, aż będzie gładki, do sera wbić 5 żółtek, 1/4 kg cukru, 2 łyżeczki świeżego masła, łyżkę drożdży, mniej więcej półtora dkg. wanilii dla zapachu, wreszcie — pianę z ubitych 5 białek. Na brytwankę, wysmarowaną masłem położyć warstwę ciasta, przygotowanego na baby według naszego pierwszego przepisu, na ciasto położyć grubą warstwę sera, z ciasta porobić cienkie, długie wałeczki i ułożyć w kratę na serze, posmarować rozbitym jajkiem, posypać cukrem i drobnymi rodzynkami. Gdy podrośnie, wstawić na godzinę do gorącego pieca.

PRZEPIS NA DROBNE CIASTECZKA

5 dkg. cukru, szczypta soli, 10 dkg. masła i 15 dkg. mąki rozkruszyć w misce, dodać łyżkę śmietany i zagnieść ciasto. Rozwałkować na grubość noża, posmarować ciasto białkiem, posypać cukrem, zmieszanym z tłuczonymi migdałami albo orzechami. Wykrawać półksiężyce i piec na kolor ciemno-złoty.

PRZEPIS NA TORT CYGAŃSKI

20 dkg. cukru i 7 żółtek ucierа się na pianę, następnie dodaje się po 6 dkg. rozmiękczonej w cieple czekolady lub kakao, posiekanych orzechów, skórek pomarańczowych i bezpestkowych rodzynek. Po wymieszaniu ciasta z dodatkami, wmieszać ostrożnie pianę z 7 białek, przesypując dwiema łyżkami tartej bułki. Po upieczeniu i ostudzeniu oblewa się tort polewą czekoladową i posypuje tartymi orzechami.

TORT ORZECHOWY LUB MIGDAŁOWY

Utrzeć na pianę 5 żółtek i 15 dkg. cukru, po czym dodać: 15 dkg. mielonych migdałów lub orzechów, wanilii do zapachu, pianę z 5 białek i 8 dkg. mąki. Wyłożyć masę do natartej masłem tortownicy i piec trzy kwadranse. Po ostygnięciu przekrajać tort na 3 warstwy i posmarować kremem. Na krem bierzemy: 1/4 litra mleka, trochę wanilii i 3 łyżeczki mąki. Gotujemy na gęstą papkę, mieszając, a następnie studzimy. Osobno ucieramy na pianę 15 dkg. masa i dodajemy po łyżeczce ostudzonej papki i 1 2 dkg. cukru-pudru. Trzeba dobrze ucierać, inaczej bowiem krem się nie uda.

W jednym z poprzednich numerów naszego pisma podawaliśmy przepisy na przyrządzenie mięsa do stołu wielkanocnego. Nieodzownym dodatkiem do niego są sałatki, które poza tym upiększają stół. Oto proponujemy kilka łatwych przepisów.

SAŁATKA Z CZERWONEJ KAPUSTY

Drobno naszatkować główkę czerwonej kapusty i opuścić do wrzątku, żeby raz zakipiała, odcedzić i zaprawić cukrem, oliwą, octem, odrobiną cebuli i drobno pokrajanym jabłkiem.

SAŁATKA MAJONEZOWA Z KURY

Oczyszczoną kurę ugotować do miękkości, z włoszczyzną (rosół można podać z pasztecikiem). Mięso obrać z kości i pokrajać w drobną kostkę, dodać niedużą puszkę groszku „Społem", posolić, dobrze zmieszać z mięsem, dodać krajane w kostkę gotowane kartofle, marchewkę, seler, ewentualnie surowe jabłko i zalać wszystko majonezem. Na majonez bierzemy 2 żółtka, łyżkę musztardy, trochę soli i cukru i ucieramy dobrze. Następnie dodajemy po kropli 1/4 do pół litra soji, dokładnie cały czas ucierając, dopóki nie zużyjemy całej soji. Do smaku dodajemy przyprawę „Społem" i odrobinę octu. Jest to bardzo smaczna sałatka. W podobny sposób przyrządzić można sałatkę z ryby.

SAŁATKA KOLOROWA

Na środku salaterki umieszczamy groszek z puszki, dookoła układamy wieniec z ugotowanych selerów, buraczków, kartofli i marchwi. Przyprawiamy wszystko octem, soją, odrobiną soli, cukru i przyprawy „Społem".

Życzymy wszystkim naszym czytelniczkom i czytelnikom „smacznego" przy konsumowaniu tych specjałów i — Wesołych Świąt! Wszelkie pochwały i ewentualne zażalenia z powodu nieudanych potraw prosimy kierować do redakcji „Tygodnia dobrej gospodyni".

IV KONKURS „TYGODNIA" na rozrywki umysłowe

W numerze 13 (37) ogłosiliśmy czwarty konkurs „Tygodnia" na rozrywki umysłowe, które podawać będziemy w dziesięciu kolejnych numerach.

Jako nagrody Redakcja przeznacza 30 nagród książkowych i 20 nagród prenumerata kwartalna „ Tygodnia".

Za prawidowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

Jednocześnie przypominamy, że konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, prosimy więc po zakończeniu konkursu wskazać 3 najlepsze zadania zamieszczone w ramach tego konkursu. Autorom wyróżnionym przez czytelników przyznane będą wartościowe nagrody. Sądzimy, że w ten sposób wartość zamieszczonych zadań jeszcze bardziej podniesie się.

Krzyżówka sylabowa

ul. Habro

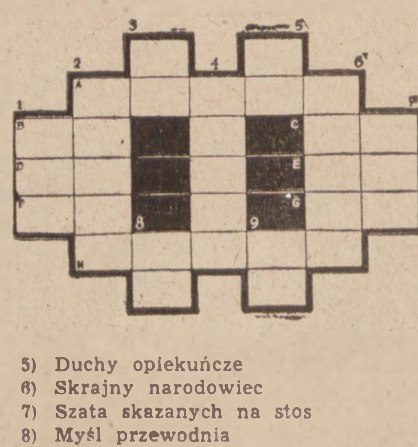
Znaczenie wyrazów:

Poziomych:

A) Składnik opium
B) Sygnał świetlny
C) Ryba z karpowiatych
D) Wiatr na Adriatyku
E) Plemię Hotentotów
F) Satelita Jowisza (wspak)
G) Instrument strunowy
H) Dbały o dobra doczesne

Pionowych:

1) Budynek gospodarczy (wspak)
2) Łańcuch górski Amer. Płd.
3) Jednostka długości
4) Plaster leczniczy z kautaryd



5) Duchy opiekuńcze
6) Skrajny narodowiec
7) Szata skazanych na stos
8) Myśl przewodnia
9) Filozof, uczestnik ruchów narodowych 1830—1848 r.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m 8
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-713
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowolki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa, Smolna 12 B-30802



Rysował Edmund Bartłomiejczyk

DYNGUS